

WINCENTY RZYMOWSKI

**PRAWO  
DO ŻYCIA  
A  
POWINNOŚĆ  
PRACY**

*Przekład  
Eugenia Kozłowska*



# PRAWO DO ŻYCIA A POWINNOŚĆ PRACY









WINCENTY RZYMOWSKI

PRAWO DO ŻYCIA  
A  
POWINNOŚĆ PRACY



Kolekcja  
Emila Kornasia

WARSZAWA 1936

---

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO



CM WEK

321839

TEGOŻ AUTORA:

POLSKIE - ARCYPOLSKIE

SYGNAŁY HISTORJI

PIŁSUDSKI. ŻYCIE I CZYNY

W WALCE I BURZY

ROMAN DMOWSKI. STUDJUM KRYTYCZNE

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 40 ...../2013/..... CM

I  
LOSY INTELIGENCJI









1

## WERBUNEK CZELADZI

Los, zadania, przeznaczenie i przyszłość inteligencji, jako odrębnej kategorii społecznej w rozległym świecie pracy: oto temat, który nie ustępuje z areny naszego życia. Temat ten interesuje zarówno sfery gospodarcze, jak obozy polityczne i kościoły wyznaniowe, narzuca się on partjom robotniczym, drażni starych nacjonalistów, tajemne nadzieje nieci w młodych „radykałach narodowych”, wręcz zdrożne chuci rozbudza w filarach konserwatyzmu.

Jeśli chodzi o stanowisko obozu skupionego wokół Romana Dmowskiego, to streszcza się ono w czarnych, ponurych wróżbach, zwiastujących znacznemu odłamowi inteligencji dzisiejszej nieuchronny upadek, degradację i zagładę. Dmowski upatruje główne źródło współczesnego kryzysu gospodarczego w nadmiernie rozwiniętym etatyźmie, najsilniejszą zaś dźwignię etatyzmu widzi w nadmiarze nieprodukcyjnej inteligencji, która tworzy coraz nowe funkcje państwowe, aby pomnażać liczbę pasorzytniczych posad. Państwo, jego zdaniem, rozrosło się i rozrasta się coraz bardziej tylko po to, aby dostarczyć utrzymania dyplomowanym proletariuszom w stojących kołnierzykach. Nie

będę zapewne daleki od właściwego zrozumienia poglądów Dmowskiego, gdy powiem, że urzędy państwowe przedstawiają się mu czemś w rodzaju plastra miodu, obsysanego przez głodne roje much, trutniów i szerszeni. W poglądzie takim, istotnie, spotykają się dwa najgłębsze pierwiastki długiej tradycji endeckiej: niechęć do postępów oświaty i stosunek do państwa i rządu, jako do folwarku pewnych wpływów partyjnych.

Skoro wszystko zło współczesnego świata pochodzi z etatyzmu, a etatyzm jest jakby pasorzytnictwem, uprawianem przez nadmiar inteligencji, to, oczywiście niema innej drogi do odzyskania utraconej równowagi gospodarczej, jak tylko podciąć gałęzie, na których siadła pasorzytująca szarańcza.

„Chcąc zapobiec złu — głosi organ Romana Dmowskiego, — państwo musi zrzec się utrzymania, kosztem ludności produkującej, nadmiernej liczby żywiołów nieprodukcyjnych... Polityka naszego państwa musi się uniezależnić od wpływów tej warstwy, która, chcąc znaleźć dla siebie rację bytu, doprowadza kraj do ruiny i zamyka przed nim wszelkie drogi rozwoju normalnego. Trzeba zawrócić z drogi etatyzmu przejawiającego się we wszystkich dziedzinach naszego życia”.

Tyle wyrocznia nacjonalistów. Jeśli skolei od prasy „stronnictwa narodowego” zwrócimy się ku łamom konserwatywnego „Czasu”, żaden sygnał nas nie ostrzeże, że od trzonu opozycji przechodzimy do obo-



zu rządowego; otoczy nas ta sama atmosfera: atmosfera niechęci do sfer inteligenckich, wyrastającej z nienawiści do etatyzmu. Partja konserwatystów, przedstawiająca wielką własność ziemską, zarówno świecką, jak kościelną, a także wypożyczająca swych nazwisk i tytułów dla osłony plantatorskiego kapitału zagranicznego, myśli tak samo, jak endecja, o zmniejszeniu podaży inteligencji. Inteligencja — oto wróg! „Przyrasta ona dzisiaj — skarży się „Czas” — znacznie prędzej od kapitału, pogarszając w ten sposób widoki przyszłości dla całej warstwy”. Z tym przyrostem — odgrają się konserwatyści — trzeba stanowczo skończyć! „Trzeba — czytamy tamże — zmniejszyć liczbę wychowanków naszych szkół średnich i wyższych”. Zmniejszyć, lecz w jaki sposób? Poprostu: „wprowadzić egzaminy konkursowe w gimnazjach i na uniwersytetach!”\*)

Ponieważ organ wielkich dóbr świeckich i kościelnych nie mówi nic o egzaminach konkursowych w seminarjach duchownych, przeciwnie, pragnie, aby mnożeniu się kadr duchowieństwa w Polsce żadnej nie stawiano tamy, więc nie ulega wątpliwości, że gdybyśmy poszli za jego radą, oświata w Polsce rychło spływałaby przeważnie do rąk księży i mnichów. Spokojnie i niepostrzeżenie, bez wstrząsów, państwo polskie cofnęłoby się ku czasom i obyczajom saskim.

---

\*) Rocznik 1934.



## LOSY INTELIGENCJI

Pod jednym względem stosunek konserwatystów do inteligencji odchyła się, być może, od takiegoż stosunku endecji. Gdy tę ostatnią cechuje podejrzliwa wobec inteligencji nieufność, konserwatyści, rozsądniejsi i przezorniejsi, skłonni są rolę inteligencji uznać, ale pod pewnym warunkiem: że w walce świata pracy ze światem kapitału stanie bez zastrzeżeń po stronie wyzyskiwaczy przeciw wyzyskiwanym. Można się domyślać, że konserwatyści dlatego właśnie pragnęliby ograniczyć zastępy inteligencji, ażeby w jej szczupłych, wybranych szeregach tem snadniej wytworzyć się mogło poczucie solidarności z klasą wielkich właścicieli ziemskich i przemysłowych.

Jakże tkliwe, aksamitne i wzruszające są te argumenty, któremi nasz konserwatyzm werbuje inteligencję do współpracy, a właściwie do służby w szrankach kapitału! „Tylko wzrost kapitalizacji — czytamy — i przypływ kapitału zagranicznego może trwale polepszyć los naszej inteligencji... Popyt na inteligencję stworzyć można tylko przez przyrost kapitału... Odczuwają to w pierwszym rzędzie technicy, inżynierowie i inni inteligenci, zatrudnieni bezpośrednio w procesach produkcyjnych. Skolei wzrośnie popyt na handlowców, pracowników bankowych, biuralistów. Wzrost dobrobytu odbije się wreszcie na popycie za książkami, dziełami sztuki i teatrem”.

Słowem, zdaniem czcigodnego organu hrabiów, książąt i biskupów, jedność interesów inteligencji i kapi-

## WERBUNEK CZELADZI

tału nie ulega wątpliwości. Życie w Polsce — zapewniają konserwatyści — dałoby się urządzić wcale nieźle ku powszechnemu zadowoleniu. Oni — magnaci — w imię dobra kraju podjęliby się roli lokajów kapitału zagranicznego, a inteligencja polska byłaby lokajem lokajów i miałaby, ostatecznie, być może niezaszczytny, ale zapewniony. Zabezpieczony o tyle, aby nie myśleć o „zakładach ubezpieczeń” i nie wytwarzać podobnie bałamutnych agend państwowych.

Niestety, — ubolewa „Czas”, — w Polsce znaczna część inteligencji nie rozumie, jakie oczekiwałyby ją dobrodziejstwa, gdyby zechciała przejść na utrzymanie banków, karteli i latyfundjów ziemskich. „Opanowawszy aparat państwowy i rozbudowując go bez końca, wyobraża sobie, że może zmienić prawa ekonomji. Utopja, utopja!”

W tem natrząsaniu się z „utopji”, przez którą rozumieją wszystko, co w układzie społecznym wykracza poza stosunek pana do sługi, kapitalisty do wyrobnika, władcy do pacholka, starzy konserwatyści polscy znów podają rękę nacjonalistom. I jedni bowiem i drudzy mają w istocie rzeczy, ten sam pogląd na inteligencję i jej pracę. I jedni i drudzy pragnęliby zamykać szkoły, kształcące myśl ludzką oraz solidarność pracy, otwierać zaś posterunki dla werbowania czeladzi, wytresowanej do usług odpowiednio płatnych. I ci i tamci zgodnie w usługach inteligencji widzą jedynie towar, podlegający prawom popytu i podaży. Zgodnie

## LOSY INTELIGENCJI

widzą w niej jakby ciąg dalszy roli dworskiego ekonoma, który ongi w rękach dziedzica był narzędziem zdzierstwa i ucisku chłopca, pracującego na roli.

To, że obóz Dmowskiego z natury swej ma coś z ekonoma, gdy tymczasem konserwatyści zachowali coś z dawnego dziedzica, nie maćci bynajmniej ich zgody poglądów. Owszem, tworzy między nimi tę harmonję, która płynie z wzajemnego dopełnienia roli oraz interesów.



## WSPÓLNICTWO DOLI

W tym samym czasie, gdy z łamów polskiej t. zw. narodowej i społeczno - konserwatywnej prasy płyną hasła, nawołujące inteligencję do służby najemnej w obronie kapitalizmu, jak do najchlubniejszego powołania, o jakim śnić może pracownik umysłowy, we Francji podniósł się głos, zwrócony również ku zastępom inteligencji, ale ożywiony jakże odmienną ideą i troską!

Mam na widoku „list otwarty”, z jakim Roman Fernandez, czołowy pisarz francuski, wystąpił do sławnego kolegi swego Andrzeja Gide'a. List ten, ogłoszony w *Nouvelle Revue Francaise*, jest jakby publicznem wyznaniem wiary współczesnego inteligenta, zapatrzonego oczywiście nietylko w sprawy zawodowe swej klasy, ale przedewszystkiem w zadania myśli badawczej i twórczej, które klasa ta reprezentuje.

Fernandez należy do tych umysłów nowoczesnych, żywotnych i czynnych, które nigdy nie mieściły się w koszarach żadnego reżymu, w żadnej, choćby najwznioślejszej, wieży z kości słoniowej, w żadnej kaplicy osobliwego nabożeństwa. „Nie lubię — powiada on — kościołów: lękam się zawsze, aby bramy i witra-

że świątyni nie przesłoniły wiernym żywej rzeczywistości". Ta niechęć do zamykania się w szrankach zastygłych dogmatów trzymała umysł jego w jednakowej odległości zarówno od brzegów rewolucji, jak od murowanych sklepień konserwatyzmu. Zastrzegając sobie pole otwarte do krytyki wszystkiego i wszystkich, myśl jego, jak ptak wolny, bujała nad szachownicą ścierających się prądów i sił, nie biorąc udziału w atmosferze walki i, poniekąd, dumę czerpiąc z faktu, że na kurzawę pobojoywiska patrzyła spod obłoków.

Ale oto nadszedł dzień, który dumnemu arbitrowi kazał zstąpić z obłoków na ziemię.

Dniem tym był dzień 6 lutego r. 1934, pamiętny dzień rozruchów, które zboczyły krwią bruki Paryża. Fernandez zdaje sobie sprawę doskonale, ile słusznego gniewu przeciw oligarchji i korupcji partyj politycznych nagromadziło się w piersi tych, którzy wzniesli oręż przeciw gmachowi parlamentu. Ale trwogą i grozą przejął go widok szczywanych wyg i menerów, którzy przyczaili się za plecami wzburzonych zastępów i którzy ze szczerego ich gniewu postanowili zrobić narzędzie reakcji społecznej. „Jestem jednym z tych — wyznaje Fernandez — którzy jeszcze parę lat temu wierzyli w możliwość ideologii prawicowej, w istnienie etyki wśród sfer prawicowych. Po 6-tym lutego nadziei tej już snuć niepodobna. W partjach prawicowych nie istnieje, poza szumnymi hasłami nic, prócz

obawy o kurczące się portmonetki. Marx miał aż nadto wiele słuszności; gdy więc muszę jedną ze stron wybierać, stoję po stronie portmonetek pustych".

Innemi słowy: ratunek dla inteligencji, myślącej własną głową, widzi autor francuski w jaknajściślej-szem zespoleńiu jej kadrów z zastępami proletariatu, z ruchem świata pracy. „Połączyć się z proletariatem — głosi — znaczy to uczynić zadość swemu dobrze zrozumianemu egoizmowi. Ale również znaczy to — dokonać dzieła oczyszczenia, pozyskać pewność siebie, zdobyć prawo równego spojrzenia". Religijnym mówiąc językiem, inteligencja zbawi siebie o tyle, o ile stanie w szeregach walki o zbawienie proletariatu.

Czy znaczy to również, że stanąć ma pod sztandarem marksizmu?

Odpowiedź, jaką na pytanie to daje Fernandez, ma wagę przełomowej decyzji. Znana jest rzeczą, że Marx jako spadkobierca filozofji niemieckiej, nie budził nigdy entuzjazmu we Francji, nie miał tam nigdy wielu zwolenników, a i ci nawet, których pozyskał, kładli w ramy jego dialektyki treść własną, zaczerpniętą z własnej, francuskiej tradycji rewolucyjnej. Aktywizm jednostki, heroizm woli ludzkiej, poryw powstańczy, zmysł dla konkretnej rzeczywistości społecznej i narodowej, oto pierwiastki, niedocenione przez Marxą, które w tradycji rewolucjonistów i reformatorów francuskich grały rolę wybitną od Babeufa i Proudhona do Jaurésa i Sorela.



## LOSY INTELIGENCJI

Zna, rzecz prosta, i Fernandez niedobory marksizmu, nad którego księgami spędził niejeden miesiąc, a może i niejeden rok w życiu. Cenił go zawsze jako niezastąpioną metodę tłumaczenia zjawisk społecznych i politycznych, ale daleki był od upatrywania w nim ewangelji, zwiastującej odkupienie świata. Widział w nim instrument myśli, powołanej do badania stosunków społecznych, nie zaś chorągiew wiary bojowej, mającej te stosunki przekształcić. Posługiwał się marksizmem, lecz marksistą się nie czuł. Osądziwszy, że doktryna Marxa nie ogarnęła wszystkich odmian rzeczywistości ducha, skupił się on na oświeclaniu tych właśnie odcinków, które pomijali rewolucjoniści, nagleni przymusem działania. Pocóż — zdawało mu się — miałyby bronić tej twardej doktryny, której, nadomiar, z twardym uporem broniło tylu innych? Czyż raczej nie należało myśleć i innych zmuszać do myślenia o tem, o czem zapominają w swym pośpiechu działania?

Tak. Lecz oprócz prawdy myślenia, istnieje prawda działania. Najsłuszniejsza myśl staje się kłamstwem, gdy osłania dezercję człowieka z pola walki o same podstawy człowieczeństwa. Jeśli bywają chwile, w których wszelka nieobecność w obozie świata pracy obraca się w odsiecz dla jego przeciwników, to chwile takie przeżywamy obecnie. „Dziki, okrutny szal bojowy kapitalizmu, jaki widzimy dzisiaj, doprowadza nas do wniosku, że marksizm, przy wszystkich

swoich brakach, stał się jedyną redutą uciśnionych, bezdomnych i głodnych. W takich warunkach każda krytyka marksizmu zmienia się w argument na rzecz „prawicy”. Otóż wydaje mi się, że jest rzeczą o wiele ważniejszą bronić tych, którzy cierpią głód, niżli mieć słuszość przeciw Marxowi”.

Wnioskowi temu, przy całej jego impulsywności, nie można odmówić ani konsekwencji, ani szlachetności. Ludzie, którzy jak Gide, jak Fernandez, jak Denis Saurat, jak Alain, jak tyle innych najprzedniejszych intelektów francuskich, bronią pewnego humanizmu, opartego na wierzeniu, że człowiek dla człowieka jest wartością najwyższą, nie mogą patrzeć obojętnie na triumf żywiołów, których przekonania są wręcz przeciwne i którzy gotowi są dążyć do władzy poprzez degradację i ujarzmienie wielkich grup społecznych, a przede wszystkim inteligencji i robotników.

Mylą się przytem ci, którzy sądzą, że grozi nam jedynie ujarzmienie gospodarcze. Wojujący kapitalizm chce nas ująć w karby, skoszarować: ująć w karby instytucyj potępionych przez rozum; przytroczyć do jakiejś zasady transcendentalnej, zasady bóstwa lub narodu, mającej regulować myśl naszej myśli i rozkazywać naszym natchnieniom. „Stąd to — stwierdza w swym liście otwartym Fernandez—wyrasta potrzeba zbliżenia między robotnikami fizycznymi a umysłowymi. Dawniej ci ostatni znajdowali względną osło-

## ŁOŚY INTELIGENCJI

nę przeciw naciskowi społecznemu w liberalizmie, który był swego rodzaju elastycznością polityczną. Obecnie liberalizm jest rzeczą martwą. Jest to dzisiaj czek bez pokrycia. Można nim cieszyć się tylko w wyobraźni, pod warunkiem, że się go nie przedstawi do kasy. Straszliwy błąd inteligencji włoskiej oraz niemieckiej polegał właśnie na tem, że zaufała liberalizmowi”.

Dążność proletariatu do wyzwolenia, zdaniem pisarza francuskiego, jest ruchem analogicznym z dążnością ducha ludzkiego ku prawdzie. Analogia ta staje się oczywista z chwilą, gdy wybija godzina działania. „Ojcowie nasi — mówi Fernandez — usiłowali pozyskać rzeszę robotniczą dla liberalizmu. My dzisiaj przed odwrotnem stajemy zadaniem: inteligencję zjednać musimy dla klasy robotniczej, szerząc wśród jednej i drugiej przeświadczenie o tożsamości ich potrzeb i aspiracyj.

Inteligent — streszczamy wywody autora — potrzebuje klasy robotniczej, aby móc w pełni poznać samego siebie. A ponieważ i robotnik potrzebuje inteligenta, aby sobie los własny uświadomić, przeto między jednym a drugim wywiązuje się ścisły stosunek wzajemności.

Stanowisko, zajęte przez pisarza francuskiego w liście otwartym do drugiego wielkiego pisarza Francji, jest znamienym wyrazem prądów, krystalizujących się w umysłowości zachodnio-europejskiej pod grozą coraz potężniej, coraz niebezpieczniej o jej brzegi bi-



## WSPÓLNICTWO DOLI

jących fal faszyzmu. Jest to stanowisko, być może, krańcowe, ale wyraźne i zdecydowane, w pełni zaś swego zdecydowanego wyrazu — imponujące. Krańcowość jego wynika bowiem nie z kaprysu lub przesady, ale z głębi przekonania, że w pewnych koniunkturach każdy złoty środek, każdy moment wahania, bywa zdradą sprawy.

Koncepcja francuskiego pisarza jest antytezą tej roli, do której zaprasza, a niewątpliwie i nagiąć pragnęłaby inteligencję reakcja społeczna całej Europy, w jej zaś szeregach i nasza rodzima partja „narodowa” i konserwatywna. Gdy żywioły reakcyjne chciałyby inteligencję, jak posłuszną czeladź, wprząc do obsługi wielkich rolnych i przemysłowych przedsiębiorstw, opartych na wyzysku i poniżeniu pracy robotniczej, pisarz francuski z wyżyn wielowiekowej tradycji kulturalnej swego kraju wskazuje inteligencji drogę, która jest drogą solidarności i współdziałania z robotnikiem.

## W POSZUKIWANIU KOTWICY

„Drobnomieszczaństwo — pisał przed laty 80-ciu Marx w swej broszurce o „18 Brumaire” — jest nieodłącznym składnikiem wszelkich narastających ruchów rewolucyjnych”. Dziś możnaby dodać, że jest ono również czynnikiem nieodłącznym i wszelkich ruchów faszystowskich.

Przed każdym kryzysem społecznym drobnomieszczanin, świadomie lub nieświadomie, staje się kandydatem obu zwalczających się stron: reakcji i rewolucji. Gdy między obu temi zasadniczymi partjami przychodzi do walnego starcia, wtenczas drobnomieszczanin, a zwłaszcza drobnomieszczanin - inteligent rzuca się na pole walki, jako „zbawca ojczyzny”, jako rycerz „ładu i porządku”, jako szermierz „religji” oraz dóbr „narodowych”, wyrastających ponad kontrasty społeczne. Obóz rewolucji wita tę niewołaną i nieoczekiwaną interwencję zazwyczaj wybuchem pogardy i gradem zgniłych jaj. Inaczej przyjmuje ją wielka, bogata burżuazja, piastująca kierownicze role w bankach i kartelach przemysłowych. Można, bogata finansjera nie lęka się uroczystych słów, wie bowiem doskonale, jak słowa takie dają się wypełniać treścią.

## W POSZUKIWANIU KOTWICY

Gdy chwila właściwa nadchodzi, potrafi ona puste kielichy takim napełnić winem, jakie słabe głowy najłatwiej zawróci w pożądanym kierunku. Elita finansowa w każdym kraju rozumie, że republika demokratyczna, jak każda inna forma rządów pod władztwem Mammona, jest niczem innym, jak tylko maszyną, poczęści osłaniającą, poczęści organizującą wyzysk pracy najej.

Drobnomieszczaństwo, wskutek swej sytuacji gospodarczej, a także swych warunków życia, nie jest zdolne do zrozumienia tej prawdy. Z rozczulającą naiwnością skłonne ono bywa wierzyć, że republika demokratyczna, że demokracja parlamentarna, jest najwyższym wyrazem zbiorowego ładu, wolności i sprawiedliwości; jest prawdziwą demokracją ludową, prawdziwym państwem ludu, wzniesionem wysoko ponad przeciwieństwa klas i ponad rozbieżne grupy interesów. Drobnomieszczanin nie dostrzega potentatów finansjery, czających się za kulisami tej „głupiej gadalni”, jaką stał się oddawna parlament; nie widzi, że poseł, którego on do Izby wybranych deleguje z mandatem „Boga i Ojczyzny”, będzie w tej Izbie tylko pacjentem, pociągany za nitkę przez decyzje wielkiego kapitału. Drobnomieszczanin gry wielkich interesów nie widzi — i dlatego staje się ich najłatwiejszą zdobyczą.

To znaczy: najłatwiej użyć się daje za narzędzie walki przeciw klasie robotniczej. Najbezsposorniej ule-





ga demagogji, która woła „Uginamy się pod ciężarem nędzy; stoimy w obliczu zatury; jeśli zginać nie chcemy, musimy, aby się ratować, zmiażdżyć tych, którzy stoją pod nami”.

Argumenty demagogji tej nabierają tem silniejszej wymowy w środowisku drobnomieszczańskim, że jest to środowisko ludzi przeważnie bądź deklasujących się, bądź zdeklasowanych: ludzi odtrąconych przez świat kapitału, lecz nie wchłoniętych przez świat pracy.

Drobnomieszczenie, a w ich szeregu t. zw. „pracownicy umysłowi”, posiadający wysoki nieraz cenzus wykształceniowy, ulegają pod ciśnieniem kryzysu niebłaganej proletaryzacji. Spychani na dno nędzy, zaczynają dzielić los proletariatu, ale bynajmniej dzielić nie chcą jego ducha, jego ideologii, jego zasad solidarności. Ten przedział, ten rozstęp, jaki zachodzi między dolą drobnomieszczaństwa wogóle, inteligencji zaś w szczególności, a jej ideologią, stanowi właśnie główną, choć nie jedyną, bramę wejściową dla ruchów faszystowskich. Cóż, że inteligenci - drobnomieszczenie, w swych najniższych szeregach, otrzymują zarobki nie wyższe od robotników? Mimo parowego walca, który, tocząc się po ich karkach, niweluje je równo z barkami robotników, w inteligencji drobnomieszczańskiej żyje poczucie przynależności do wyższego stanu. Żyje i buntuje się przeciw nakazowi solidarności z klasą robotniczą. Fakt, że inteligencja dopuszczana bywa

## W POSZUKIWANIU KOTWICY

do salonów wielkiej burżuazji, a czasem nawet zasiada przy jej stole i spożywa resztki jej biesiady, wydaje się jej prerogatywą tak cenną, że sama myśl jej utraty przejmuje ją strachem i bólem. Drobnomieszczanin żyje na skraju przepaści w ustawicznej trwodze, aby nie runąć w odmęt proletariatu, który wydaje mu się odmęttem zatracenia. Tem się tłumaczy powszechnie znane zjawisko, że każdy poryw buntu, każdy poryw ruchu w świecie proletariatu przyprawia o panikę drobnomieszczańskie serce inteligenta, który boi się, aby rozpętany chaos nie stracił go w nicość. Robotnik fabryczny, idąc na walkę, ma niewiele do stracenia; inteligent - drobnomieszczanin jest przekonany, że do stracenia ma bardzo dużo, i to jego przekonanie staje się najskuteczniejszą w rękach moźnej finansjery dźwignią, mobilizującą ofensywę faszyzmu.

Drobnomieszczaństwo boi się naporu dołów społecznych, lęka się ich, więc zaczyna ich nienawidzić. Nienawidzi wszystkiego, co organizuje siłę i zwartość świata pracy, co każe mu dźwigać się z padołu i rozprostowywać karki. Ogarnijmy i zważmy na wadze psychologicznej nienawiści, jaką nasza stara endecja wyhodowała i wciąż jeszcze w sobie hoduje przeciw robotnikowi, przeciw rzeszy bezrobotnych i małorolnych włościan: czyż — w znacznej mierze — nie jest to rozżarta i ślepa pasja drobnomieszczaństwa, owego drobnomieszczaństwa, które, wisząc nad krawędzią przepaści i kurczowo jej się trzymając klnie i złorzę-

czy masom, walczącym o prawo i godność pracy robotniczej? Czyż endecja latami ścigała Piłsudskiego nie dlatego, że ongi sztandar niepodległości zatknął na reducie proletariatu? Być może, wybaczyłaby mu ona w jego walce o niepodległość jego najkrwawsze trudy i najszczytniejsze ofiary; czego nie mogła wybaczyć mu aż po dzień zgonu, to tego, że niegdyś do walki o Polskę stanął w bluzie polskiego robotnika. Wspomnienie to jest tak piekące i nieznośne dla starszyny „narodowej”, a także i dla konserwatystów, że, aby je zatrzeć, niektórzy z nich posunęli się do karkołomnej wykładni: „To prawda — przyznają — że Piłsudski stanął swego czasu w szeregach robotników, ale stanął tylko po to, aby ich oszukać”. Jest to wykładnia bardzo pomysłowa i nawet dowcipna; tylko, że ci, którzy dowcipkują w ten sposób, nie spostrzegli jednej rzeczy: że dowcipy swe robią na mogiłach poległych bojowników i rycerzy; tych, którzy zaufali Piłsudskiemu, wtenczas, gdy szli za nim w imię podjętej przezeń idei i dla idei tej złożyli w dani życie.

Jeśli nasza partja niby-narodowa uchodzić może za doskonałe wcielenie nienawiści, jaką drobnomieszcza- nin odgradza się od proletariatu, to nie znaczy to bynajmniej, aby drobnomieszczaństwo w Polsce przedstawiało pod tym względem wyjątek. Tę samą tendencję ujawnia ono we wszystkich innych krajach Europy, a wyborną ilustrację owej tendencji podaje Aldous



## W POSZUKIWANIU KOTWICY

Huxley, słynny pisarz angielski, na wstępie do swego studjum o „Podstawach i widokach faszyzmu”.

W czasie pamiętnego wielkiego strejku górników angielskich — opowiada Huxley — zdarzyło mu się zamieszkać w jednym z pensjonatów na północnem przedmieściu Londynu. Jego współtowarzyszami w pensjonacie byli drobni urzędnicy i biuraliści, a więc t. zw. „proletariusze w stojących kołnierzykach”, zarabiający od 4 do 7 funtów sterlingów tygodniowo. Przy stole podczas jedzenia dużo mówiło się o polityce, przyczem z każdego słowa tej czeladzi biurowej biła dzika, zdumiewająca niechęć i uprzedzenie do górników. „Wszyscy moi współtowarzysze stołu — pisze autor angielski — pałali nienawiścią do strejkujących robotników, i to tak namiętną, jakgdyby z ich strony osobistej doznali krzywdy lub zniewagi. Nigdy rozmów tych nie zapomnę, gdyż one po raz pierwszy odsłoniły mi prawdę, która odtąd była wielokroć przez historję stwierdzona; prawdę, która mówi, że prąd nienawiści klasowej, płynący ze sfer drobnomieszczańskich przeciw proletarjatowi, jest o wiele gwałtowniejszy, niż ten, który z szeregów proletariatu bije przeciw innym klasom”.

Fakt, podchwycony przez Huxleya, pokrywa się z mnóstwem faktów, pochodzących z naszej własnej codziennej praktyki i obserwacji. Wszystkie one świadczą o tem, że, jeśli proces gospodarczy wiedzie coraz szersze masy społeczne ku zubożeniu, ku bezrobociu,

## LOSY INTELIGENCJI

ku proletaryzacji, to ten rozrost nędzy bynajmniej nie jest równoległy z rozwojem klasowej świadomości proletarjackiej. W rzeczywistości, większość pracowników umysłowych, większość zdeklasowanego drobnomieszczaństwa, trzyma się tem kurczowiej zewnętrznych ideologicznych oznak przynależności do świata przywilejów społecznych, im silniej daje się im we znaki napór kryzysu, groźba proletaryzacji. Najwybitniejsze znamię owych proletariuszy w stojących kołnierzykach, o których mówi Aldous Huxley, polega właśnie na tem, że nie chcą należeć do proletariatu, i tembardziej nie chcą, im głębiej do niego już należą. Dlatego to nienawiść do marksizmu stała się jakby ideologicznym symbolem ich postawy, jak z drugiej znów strony hasła przeciwkapitalistyczne w ich ustach stają się wyrazem ich wrogiej niechęci i zawiści wobec bogatych warstw odgórnych.

Inteligencja faszystowska Włoch, a także Niemiec, opanowanych przez rasizm, doświadczyła na sobie tej gorzkiej prawdy losu, że kto w dzisiejszych czasach przeciwstawia się dążeniom świata pracy, ten rychło ulec musi wszechwładzy świata finansjery.

Wszelako, błędem byłoby mniemać, że drobnomieszczaństwo oraz wyrastająca na jego podłożu inteligencja, już historycznie skazane są na służbę w interesach plutokracji, że noszą w sobie „wrodzonego” ducha reakcji. Opowieść o duchu „wrodzonym” jest bajką, która się dawno przeżyła. Inteligencja szuka kon-

## W POSZUKIWANIU KOTWICY

junktury, w którejby mogła najtrwalej ugruntować kotwicę swych nadziei, swych uroszczeń, swych snów o potędze. Jeszcze wczoraj wydawało się jej, że najgruntowniej zakotwiczy się w faszyźmie. Dziś dostrzeża, jak drogo musi za to płacić. Czy dzień jutrzejszy nie będzie dniem jej ponownego zwrotu do współpracy z ruchem robotniczym?

Jedno jest pewne. Ani faszyzmu, ani rasizmu niepodobna uważać tylko za ruch uzbrojonych żołdaków, za ofensywę białogwardzistów. I faszyzm i rasizm — są to wielkie polityczne ruchy masowe. Ale masy, które z ruchem tym płyną, nie odrazu zdają sobie sprawę z tego, w jakim płyną kierunku i i na jakich wylądają brzegach.



## BÓG - NARÓD I JEGO OŁTARZE

Ludzie, którzy przyzwyczaili się z Niemiec czerpać ostatnie wzory metod naukowych, niemal tak samo, jak z Paryża czerpało się doniedawna najświeższe wzory elegancji, stoją dziś w zakłopotaniu i zdumieniu wobec uległości, z jaką batucie faszystowskiej poddał się, z nielicznymi wyjątkami, cały niemiecki świat profesorski.

Jakto? — pytają czciciele niezależnej myśli niemieckiej — więc jednego roku wystarczyło na to, aby na uniwersytetach Rzeszy podciąć w korzeniu tradycję Kanta, Humboldta, Feuerbacha, Wundta, Haeckla, Lotzego?

Wszelako ci, których ta zmiana frontu gorszy i zdumiewa, nie doceniają, lub nie chcą widzieć faktu, że profesorat uniwersytecki poza swemi zadaniami, którym służy w dziedzinie nauki i oświaty, jest kategorią społeczną, opartą, jak wszystkie inne grupy społeczne, o pewne określone interesy zawodowe, podległą pewnym, określonym ciśnieniom każdorazowej konjunktury gospodarczej i politycznej. Jak nie można postawy kapłana oceniać w oderwaniu od gruntu społecznego, na którym wznosi się jego kazalnica, tak samo

nie można i katedry profesorskiej, zwłaszcza jej funkcji kształcącej i wychowawczej, odrywać od warunków życia publicznego, w jakich myśl jego pracuje. Otóż, stwierdzić należy, że epoka rządów „wejmarskich“ dla olbrzymiej części plebsu uniwersyteckiego w Niemczech była nieznośnym okresem niepokoju, zamętu i niepewności. Epoka ta stawiała ów plebs uczony, wobec ustawicznych, dokuczliwych egzaminów, wobec ryzyka, którego on podjąć nie chciał i nie mógł. Historycy, socjolodzy, ekonomiści, prawnicy bładzili i spalali się w domysłach, aby dociec, który ze ścierających się probierzów prawdy okaże się słuszny, który z nich weźmie górę, t. zn. który obóz w wyniku walki stanie się panem położenia?

Siedząc na swych katedrach, biedni, zdeзорjentowani profesorowie - specjaliści, których cała wiedza o życiu mieści się nieraz w jakimś jednym dziesięcioleciu jakiegoś odległego wieku, czuli się i czuć się musieli, jak na wulkanie. Jakiemż zbawieniem wydał się im rząd, który jednym władczym gestem dyktatora kładł kres wątpliwościom Faustów uniwersyteckich i przecinał wahania akademickich Hamletów!

Z półmroku względności parlamentarnej uczoność profesorska spowrotem wstąpiła w szranki absolutu. Einstein, filozof relatywizmu, musiał dla siebie i dla swej myśli szukać schronienia poza Niemcami.

To samo, oczywiście, co o zawodowych kołach profesorskich, można — z większą jeszcze słuszością —

## LOS Y INTELIGENCJI

powiedzieć wogóle o szerokich kołach inteligencji. Fa-  
szyzm nie zyskałby w kołach tych tak znacznej siły  
zdobywczej, gdyby występował tylko, jako organiza-  
cja, służąca ku obronie interesów osobistych oraz pre-  
rogatyw stanowych; gdyby nie zapewnił jednostkom,  
zachwianym w podstawie swej równowagi, przystani  
umysłowego i społecznego ukoju.

Większość ludzi pożąda pewności, to znaczy — ła-  
nie jakiejs kojącej wiary. Wychowanie nowoczesne  
wyzwala ludzi z dogmatów wiary religijnej, ale nie  
czyni nic, aby ich wyzwolić z fetyszów wiary politycz-  
nej. Pokażne zastępy mężczyzn i kobiet stawia zbyt  
wysoko swą inteligencję lub swe wychowanie, aby  
móc wierzyć w boskość albo cuda Jezusa, pokornie  
jednak swą naukę i swój krytycyzm rozumowy skła-  
dają w ofierze tam, gdzie chodzi o wiarę w nieomył-  
ność jakiegoś „Fuehrera“, w opatrnościowe posła-  
nictwo „Wodza“. Cześć dla boga bywa intelektualną  
niemożliwością dla dziesiątków i setek tysię-  
cy osób, które kult pewnej istoty boskiej, zwanej  
„narodem“ uważają za rzecz najnaturalniejszą  
w świecie.

Jeśli osobom tym wierzyć, przyszłość każdego kraju  
należy do prądów narodowych. Do nich też, jeśli wie-  
rzyć naszej endecji, należeć ma przyszłość Polski. Na-  
cjonalizm ma być kolebką nowego życia, zorzą naszej  
potęgi, źródłem moralnego rozkwitu. Nacjonalizm  
w mniemaniu swych wyznawców, jest siłą samoistną,



która kształtuje losy świata i w promienną chwałę jutra prowadzi Państwo Polskie.

Jak wzniosłe te zapowiedzi i prorocтва przedstawiają się w świetle trzeźwej i rzeczowej oceny? Mają one jakieś oparcie lub chociażby usprawiedliwienie w dynamice stosunków, stanowiących istotę naszego społeczeństwa?

Aby na pytanie to odpowiedzieć, musimy od wymowy pożądań i tęsknot, grających na powierzchni społeczeństwa, zwrócić się do wymowy interesów i sił, nurtujących w jego głębi, a więc do interesów i sił współczesnego kapitalizmu, bo kapitalizm jest, poza Unją Sowiecką, suwerenem dzisiejszego życia, bez względu na to, czy obleka się w formę parlamentaryzmu i demokracji, czy w formy dyktatury.

Kto mówi o ujęciu w swe ręce i kształtowaniu przyszłości narodu, ten nie może uchylić się od wyjaśnienia swego stosunku do kierowniczych sił, rządzących ustrojem gospodarczym. Ustrój ten cechuje, jak wiadomo, rozległa skala różnic i nawarstwień klasowych, wyrażająca się w hierarchji społecznej, u której szczytu prosperują szczupłe grupy oligarchji obszarniczo-financej, u dołu cierpią i giną w poniewierce olbrzymie rzesze bezrobocia.

W jaki sposób — spytajmy — układają się w dobie obecnej stosunki wzajemne między kapitalizmem a partjami nacjonalistycznymi? Są to stosunki walki, czy przymierza i współpracy?

## LOSY INTELIGENCJI

Otóż, jeśli chodzi o kapitalizm, to istotnie był czas, kiedy stawał on w jaskrawym przeciwieństwie do nacjonalizmu; kiedy w swych zasadniczych tendencjach wybiegał poza szranki narodowe, nie dbał o protekcjonizm, znosił barjery celne i marzył o powszechnym wolnym rynku światowym. Ale kapitalizm dzisiejszej fazy z tendencjami temi nie ma nic wspólnego. Od czasów wojny, a zwłaszcza od początków kryzysu, kapitalizm zawrócił z drogi i poszedł w kierunku wręcz przeciwnym, okopując się w każdym kraju na terytorjum swego państwa i taryfami celnymi odgradzając się od współzawodnictwa sąsiadów.

Ścisłe i wielorakie węzły, jakimi we wszystkich krajach kapitalizm, skupiony w monopolach i kartelach, splótł się z państwem, pozbawiły kapitalistów pewnego ułamka wolności, przyniosły im zato opiekę i protekcję, które, z narodowego wypływając ośrodka, z konieczności mieć muszą zasięg, ograniczony do szranków narodowych. Wielkie przedsiębiorstwa doprowadzone zostały w ten sposób do zacieśnienia swej działalności i chwilowego częstokroć poniechania nadziei rynków światowych, ażeby lepiej obwarować się na rynku krajowym i ze wzmożoną siłą pokusić się znów o eksport. Zorganizowany w instytucjach finansowych kapitał nie przestaje odtąd wołać do rządów swego kraju o coraz wyższe cła ochronne, o coraz szersze przydziały zamówień, o coraz większe premje wywozowe, o coraz nowe formy dumpingu.

Czy trzeba dodawać, że koszta tych wszystkich „narodowych” prerogatyw kapitału ponosi robotnik i chłop, ponosi spożywca, ponosi płatnik podatków pośrednich, a więc ponoszą najszersze warstwy ludności?

Kapitalizm powojenny i kryzysowy zorganizował się zasadniczo w kadrach narodowych. Nie znaczy to, aby rynek światowy przestał istnieć. Rynek ów istnieje, ale w stanie chaosu i wojny. Kapitalizm na terytorjach narodowych zorganizował się za cenę morderczych antagonizmów, w których ścierają się i zżerają się nawzajem poszczególne gospodarki narodowe, walcząc przeciw sobie taryfami i dumpingiem, a nadewszystko rabunkiem miejscowego spożywcy i pogłębieniem nędzy świata pracowniczego.

Te antagonizmy i kontrasty nie są, oczywiście, przypadkiem. Tkwią one głęboko w samych podstawach powojennej ekonomji. Przyczyny, wywołujące organizowanie sił gospodarczych w ramach narodowych, prowadzą jednocześnie do chaosu rozprzężenia i walki na rynku światowym. Kapitał finansowy, dążąc do nieustannego rozszerzenia pola swego zbytu, aby zadaniu temu sprostać, musi się organizować, a więc musi organizować się na podstawie narodowej, gdyż jedynie państwo (które które jest narodowe, nie zaś światowe) wyposaża go w oręż i potęgę, niezbędne do jego nieograniczonej ekspansji. Gospodarka bowiem narodowa, zabezpieczając się przed importem, nie rezygnu-



je z eksportu. Jeśli stawia na granicy barjery własne, to tem usilniej pracuje nad tem, aby przełamać lub ominąć cudze. Ale dążąc do ekspansji, z nieubłaganą koniecznością wchodzi w starcie z takimiż dążeniami innych krajów i, aby nie ulec w walce na rynku zagranicznym, tem usilniej, tem skwapliwiej, tem zazdrośniej organizuje się na swym rynku narodowym.

I tu, w obliczu przeciwności, rozdzierających współczesną gospodarkę światową, stajemy u źródeł nacjonalizmu; u źródeł tych, reklamowanych przez endecję prądów narodowych, w których rzekomo tać się ma przyszłość i zbawienie świata. To, w czem endecja i jej prorocy widzą kolebkę nowego życia, jest tylko politycznym refleksem schyłkowej fazy kapitalizmu. *Nacjonalizm polityczny jest przyłbicą, w jakiej na podbój mas wychodzą renty obszarnicze, kartele, koncerny i banki kapitalistyczne. Wiedzą one dobrze, że, gdyby odstończyły swe oblicze, nie mogłyby liczyć na entuzjazm ludu.* Ubierają się tedy we frazeologję nacjonalizmu, rasizmu, faszyzmu, państwa totalnego lub narodowego wybraństwa, i w takim przebraniu usiłują zyskać o wiele lepsze warunki dla powodzenia swej sprawy.

Nędzę chłopa i robotnika, dolę bezrobotnego i pauperyzację inteligencji przesłaniają one pióropuszem chwały, jaka rzekomo na tych ubogich i wydziedziczonych spływa z górnych kondygnacyj społecznych.

Najpomysłowsze przyłbice i maski nie mogą jednak

## BÓG — NARÓD I JEGO OŁTARZE

ukryć istoty nacjonalizmu i funkcjonalnej jego zależności od sfer finansowych z chwilą, gdy pod egidą tychże i na ich rachunek, uda mu się zdobyć pełnię władzy w państwie.

Z dawnych prerogatyw społecznych nie pozostaje wtenczas kamień na kamieniu. Sztandar nacjonalizmu staje się całunem, w którym do grobu złożone zostają prawa, wolności i zdobycze świata pracy.

Drogi wielu sercom przykład Włoch faszystowskich jest i dla nas niezmiernie cenny. Pokazuje on bowiem, co daje nacjonalizmowi u steru państwa wówczas, gdy zdoła wcielić się w indywidualność wyjątkową: w jednej ręce niesie ludowi nędzę, w drugiej — wojnę.



Pod wrażeniem powabnych studjów Wilhelma Ferrera, przyjął się obecnie zwyczaj zestawiania czasów naszych ze schyłkowym okresem Cesarstwa Rzymskiego. Konfrontacja ta daje dużo pola do snucia analogij niekiedy znamiennych, najczęściej dowolnych i kapryśnych. Mojem zdaniem, jeśli wolno w epoce upadku świata antycznego szukać podobieństwa z epoką naszą, to podobieństwo tych odległych czasów w jednym chyba streszcza się znamieniu: w tem, że z państwowości i patriotyzmu państwowego uczyniły one religję.

Cywilizacja burżuazji europejskiej w. XIX pokonała wiarę religijną, zatrzymując ją zresztą, jako swe po-

## LOSY INTELIGENCJI

mocnicze narzędzie władzy i wyzysku, „na użytek mas ludowych”. Wojna światowa pokazała, jak nawet boga można we wszystkich krajach wpręgać do służby na rzecz bałwana nacjonalizmu. Żaden w dziejach minionych dogmat nie był bardziej tyrański i mniej tolerancyjny, niż triumfujący w dzisiejszej Europie dogmat narodu. Czemże są dawne sądy Inkwizycji hiszpańskiej wobec nowoczesnego „Tribunale per la difesa dello Stato” we Włoszech? Czem więzienia św. Oficjum wobec wysp Liparyjskich, na których faszyzmy dzisiejsze zamykają i miażdżą swych przeciwników? Nadomiar dogmatyzm świecki — w przeciwieństwie do dawnych fanatyzmów religijnych — nie może dla siebie szukać usprawiedliwienia w tem, że dążeniem jego jest dobro i zbawienie człowieka. Faszyzm poprostu drwi z tego, co było opoką dawnych kościołów i na czym budowały one swą służbę apostołską i swą etykę wszechludzką. Cóż z tego, że każdy nacjonalizm podaje siebie za wyrocznie objawienia? Głosząc swą doktrynę egoizmu i wyłączności, każdy z nich nieuchronnie doprowadzany bywa do absurdu przez wszystkie inne. Prawda, którą ustala nacjonalizm, poderwana zostaje natychmiast przez fakt swego triumfu i upowszechnienia. W cóż obróciłby się, dajmy na to, pacierz endecki w ustach Niemca, albo katechizm hitlerowski w ustach Polaka? Czyż nie zmieniłby się w karykaturę i szyderstwo z własnego narodu? A cóż warta jest zasada organizacji, która prze-



kroczyć nie może granicznego kordonu i będąc prawdą po jednej stronie granicy, staje się kłamstwem po drugiej?

Nacjonalista, aby wierzyć w swój dogmat, musi odwracać się plecami od reszty świata. Musi z ojczyzny własnej uczynić coś nakszałt więzienia, coś nakszałt fortecy: więzienia dla siebie, fortecy przeciw obcym wpływom i prądom. Lecz odosobnienie i egoizm, to — najniewątpliwsze czynniki uwiądu i zastoju. Oto dla czego ten najbardziej kolczasty z dogmatów — nacjonalizm — jest jednocześnie najuporczywszy ze wszystkich i najzgubniejszy.

I śmiało twierdzić można, że dogmat ten nie opanowałby tylu krajów w Europie, a we wszystkich krajach pewnością nie zyskałby tylu wyznawców, gdyby nie owa podziemna potrzeba kultu i czcicielstwa, która, nurtuje w masach, nie wyłączając mas robotniczych, i która szuka sobie nowych form wyładowania wobec skruszenia i ruiny dawnych.

Faszyzm jest tym właśnie ruchem, który dąży i przekopuje w społeczeństwie nowe kanały dla irracjonalnych prądów nabożeństwa. Organizując kult Boga-Narodu, wznosi on i poświęca ołtarze, przed którymi znajduje upust pokora, uległość, bojaźń, żądza posłuchu i opieki, czołobitność: te prastare żywioły duszy ludzkiej, nagromadzone w masach setkami pokoleń, wyhodowane tysiącami lat tresury społecznej, żywioły i uczucia, na których opierały się i opierają wszelkie

## LOSY INTELIGENCJI

hierarchje władzy od faraonów egipskich aż do Ludwika XIV, od Iwana Groźnego do Mussoliniego.

Tylko, że gdy dawniej arcykapłani kultów religijnych sięgali po władzę świecką i militarną, dziś władza państwowa, aby wzmóc swą siłę, stroi się w godła i w nieomylność arcykapłanów.

## KIELICH UŁUDY W RĘKACH NĘDZARZY

Dawne możnowładztwo, póki trzymało się mocno w siodle swych zadań i funkcyj państwowych, nie czuło ani ochoty, ani potrzeby usprawiedliwiania szczególnych praw i przywilejów swego stanu. Przywileje te wyrastały właśnie z samej natury pełnionych przez nie czynności; były ich podłożem i warunkiem.

W prawach arystokracji tały się jej obowiązki. Jej prerogatywy były tylko odwrotną stroną jej służby i jej powołania.

Gdy jednak arystokracja wysadzona została z siodła feudalizmu, gdy utraciła swą rolę przewodnią w państwie i społeczeństwie, wtenczas przywileje i prerogatywy jej zawisły w próżni. Aby je ocalić i zachować nadal, trzeba było stworzyć sztuczne rusztowanie, na któremby one mogły się wesprzeć.

I rusztowanie takie zjawiało się w postaci znanej teorii, która godność możnowładztwa wysnuwała z legendy jego pochodzenia, z mitu krwi, z wybraństwa rasy. Jakiś baron, jakiś hrabia, margrabia lub książę, mógł być, sam przez się, bankrutem lub nicponiem, nad czołem jego mimo to powiewał pióropusz chwały, będący znakiem jego „błękitnej” krwi. Gdy z degradacją



## LOSY INTELIGENCJI

społeczną szła w parze ruina majątkowa, pióropusz ze zdwojoną pielęgnowany był pieczołowitością. W upośledzeniu osobistem przynależność i wspólność rodowa stawiała się jedyną kotwicą ratunku, ostatnią dźwignią godności, a może i podstawą bytu. A jednocześnie ta mitologia krwi, rasy i pochodzenia była dla skrachowanego magnata najtańszą, najdostępniejszą rekompensatą za wszystkie nędzy i upokorzenia kraczu.

O te rekompensaty i pociechy magnateria nie dbała wtenczas, gdy wierzyła jeszcze, że przyszłość stoi przed nią otworem, że każdy dzień następny będzie punktem wyjścia dla nowej kariery, nowego hetmaństwa, nowej ordynacji. Pocóż upijać się fikcją wtenczas, gdy czara biesiadna pieni się winem tęgich rzeczywistych przeżyć? Po kielich ułudy sięgnęła arystokracja dopiero wtenczas, gdy prawdziwe źródła jej mocy jęły wysychać. O dniu wczorajszym, o starożytności swego rodu, o swej szlachetnej krwi i rasie przypominała sobie wtenczas, gdy osiadła w bezczynności i niemocy, gdy historia rolę jej przekazała innym ludziom i klasom.

Spójrzmy po szerokim łanie tych warstw społecznych, dziś przeważnie spauperyzowanych, które nazywamy warstwami średnimi: czy z dna ich losu nie bije to samo łaknienie fikcji, ten sam głód rekompensaty, jaki znamionował 100 lub 150 lat temu gasnący świat możnowładztwa? Wykolejone z dawnych dróg

## KIELICH UŁUDY W RĘKACH NĘDZARZY

zarobkowania, zubożałe wskutek kryzysu, podcięte lub zagrożone bezrobociem, warstwy te, spychane wbrew swej woli w morze proletariatu, upijają się dziś baśniami o wyjątkowej wartości swej rasy, swej krwi, swej narodowości, jak ongi upajali się mitem swego rodowodu zrujnowani hrabiowie i książęta.

Polityczne i gospodarcze stosunki okresu powojennego zwalały się, istotnie, ciężarem niesłychanych klęsk i upokorzeń na miliony osobiście nieposzlakowanych mężczyzn i kobiet, strącając całe klasy społeczne w przepaść rozpacz. Tym to ludziom, udręczonym przez nędzę, zgorączkowanym przez niepewność, jawi się nauka o rasowej i narodowej wyższości, jako cudowny szczebel do wywyższenia się z przepaści, do odbudowania swej godności. Nauka ta bowiem mówi człowiekowi sponiewieranemu, że mimo całej swej niedoli, stanowi on jednak „sól ziemi” i rękojmię odrodzenia ludzkości. Mówi mu, że nawet na swym barłogu nędzy i wyrzeczenia ma on prawo, dzięki związkowi z krwią swego narodu, dumnie podnieść głowę i zgóry na inne narody i rasy spojrzeć; że słowem, na mocy pewnych mistycznych sił i przesłanek, jest mędrszy i dzielniejszy, niż najszlachetniejsze jednostki obce. W tym momencie występuje agitator faszystowski i nowego szeregowca zaciąga do swej armji. Główne zadanie owej armji polega na tem, aby poniżać i deptać tych, którzy do niej nie należą. Wystarcza jednego posunięcia, jednego hasła, niekiedy zmiany ubrania,

## LOSY INTELIGENCJI

aby wczorajszy wzgardzony nędzarz przemienił się w swoich własnych oczach w istotę wyższą, pełną dumy z uniformu i z miejsca, jakie mu wyznaczono w szeregu. Jeszcze wczoraj należał do bezimiennej masy znękanych i upokorzonych; odtąd należeć będzie do tych, którzy mają możność nękać i poniewierać innych. „Ostatni powinni być pierwszymi” — głosił Jezus — „Nie — odpowiada Hitler i Mussolini — oni już są pierwszymi, pierwszymi już na tym świecie”.

Rola rekompensaty i pociechy, czerpanej z przyrostu dumy narodowej dla pokrycia niedoborów społeczno-gospodarczych, wybija się dość wyraźnie już w pierwotnej formie faszyzmu włoskiego. Nawiązywanie dążeń obecnych do tradycji imperjalizmu starorzymskiego dałoby się wprawdzie wysnuć także z bezpośrednich geopolitycznych i gospodarczych założeń państwa włoskiego. I takie, rzeczywiście, wyjaśnienie dążeń swych daje sam faszyzm, wskazując na przeludnienie ziemi apenińskiej, oraz ciasnotę terenów emigracyjnych. Wyjaśnienie to wszakże nie jest zbyt przekonujące, gdyż jednocześnie rząd włoski ostrzega naród swój przed niebezpieczeństwem spadku rozrodczości, który dla zdrowego rozumu byłby najprostszym środkiem, uchylającym ciężar przeludnienia.

Fakt, że faszyzm, który doszedł do władzy przez rozgromienie socjalizmu, wchłonał mimo to pokaźne zastępy dawnych socjalistów, tłumaczy się, między innymi, tem, że nacjonalizm oczom zubożałych mas wy-



## KIELICH ULUDY W RĘKACH NĘDZARZY

daje się drogą o wiele krótszą i wygodniejszą do podźwignięcia samowiedzy zbiorowej, niż walka socjalistyczna, oparta na związkach zawodowych i współdzielczych. Szczególniej zaś mocna była pokusa nacjonalizmu w narodzie takim, jak Włochy, których potrzeby materialne są szczupłe, aspiracje natomiast mocarstwowe tem silniej wygórowane. O ileż łatwiej porzucić na lichej płacy i w brudnym gnieździe się domostwie, skoro można nędzę swą nakryć płaszczem Cezara i powiedzieć sobie: „Civis romanus sum”. Proletariat wenecki, którego bieda i niechlujstwo uderza każdego wrażliwego podróżnika, żyje, jak wiadomo, przeważnie z pasożytniczych posług, opłacanych przez zagranicznych turystów. Ale proletariat ten, stając na brzegu Adrjatyku, woła dumnie: „Mare nostro”. W okrzyku tym zawiera się połowa triumfu, odniesionego przez faszyzm nad obszarami nędzy.

Ci, którzy utracili wiarę w pewność, znajdują w faszyźmie nowy twardy dogmat. Ci, którzy byli wykolejeni, odnajdują w nim bitą, przymusową drogę. Ci, którzy czuli się zdeptani, otrzymują kompensatę i pociechę w możliwości chępliwego wywyższenia się ponad innych. Już tych grzesznych pokus wystarczyłoby dla wyjaśnienia sobie owej olbrzymiej siły, jaką faszyzm wywiera na zwątpiałe masy. A przecież do pokus tych należy jeszcze zaliczyć urok rozkoszy, jaką daje człowiekowi każda przynależność do zwartej grupy współwyznawców, osnutej nadomiar nimbem wybraństwa

i — co nie jest bez znaczenia — posiadającej odrębny mundur.

Czyż trzeba dowodzić, jak olbrzymią rolę w budowie hierarchji ludzkiej odgrywa uniform? Mężczyzna umundurowany wybija się ponad tłum zwykłych szaraków, jak uosobiony symbol władzy i siły, jak wzmożony „sex-appeal”, jak żywy znak przywileju i posłannictwa. Odejmiemy wojsku i duchowieństwu ich szlify i mitry, a runą dwie najpotężniejsze kolumny władztwa w ludzkości.

Jednocześnie zaś z mundurem, lub choćby z kolorową koszulą faszystowską, wiąże się coś z powabem przebrania i maski. „Gdy udajemy się — pisze Aldous Huxley — na bal maskowy, razem z ubraniem zmieniamy zazwyczaj też i charakter, nabieramy odwagi do takich rzeczy, których nigdy nie zaryzykowałibyśmy w pantoflach i szlafroku. Kolorowa koszula i cholewiste buty mogą najłagodniejszego barana w srogięgo przemienić wilka”.

— Dlaczego nosisz pan tak dziką, zmierzwioną czuprynę? — zapytał ktoś jednego z młodych herosów milicji faszystowskiej w Weronie. — „Per essere piu terribile”! (Aby być straszniejszym!) — brzmiała groźna odpowiedź.

Jakże wielu ludzi jest słabych i niepozornych, a częstokroć nawet nieporadnych i żałosnych w swej bezradności, którzy pragnęliby świat przerażać lwim rykiem wyimaginowanej grozy! W uniformie faszysty

## KIELICH UŁUDY W RĘKACH NĘDZARZY

mogą oni znaleźć i, niestety, znajdują aż nadto łatwe i skuteczne lekarstwo na swój rozjątrzony kompleks niższości. Na dnie klęski i rozbicia piją kielich ułudy, który nędzarzy zmienia w triumfatorów.

Mówiąc o faszyźmie nie chcę oczywiście twierdzić, że jest on w czasach dzisiejszych jedyną formą reakcji. Nie ulega wątpliwości, że tendencja wsteczna nadaje dzisiaj ton przewodni polityce wszystkich krajów kapitalistycznych, a w tej liczbie i tych, które uchodzą za ostoję demokracji i parlamentaryzmu. Dążność do ograniczenia udziału sfer pracowniczych w kontroli nad rządami państwa przy jednoczesnem usiłowaniu umocnienia w państwie roli sfer panujących, jest hasłem, pod którym żegluje dziś polityka zarówno Włoch faszystowskich, jak demokratycznej Wielkiej Brytanji.

Formy, jakie przybiera reakcja społeczna, nie bywają nigdy przypadkowe. W ostatecznej analizie bywają one zawsze wyznaczone przez pewną konjunkturę historyczną i przez układ wzajemnych stosunków klasowych. Ta sama tendencja, która w pewnych krajach wyładowała się w dyktaturze faszystowskiej, w innym kraju znaleźć może swój wyraz w dyktaturze wojskowej lub w prostem wzmożeniu pierwiastków klerykalno - reakcyjnych w dotychczasowym systemie rządów, bez zagłady parlamentaryzmu i niweczenia stronnictw tradycyjnych.

Jakkolwiek prądy reakcyjne, z różnych wynikając



układów, w rozmaite przyoblekają się formy, niekoniecznie faszystowskie, to jednak stwierdzić trzeba, że wszystkie one widzą w faszyźmie jakgdyby swoją koronę, swój wyraz ostateczny, swe naturalne ujście. Rządy Francji długo spoczywały w rękach gabinetów, które, zdawałoby się, przedstawiały dostateczne rękojmie poszanowania interesów oraz prerogatyw średniej i wielkiej burżuazji. Polityką Anglii kieruje gabinet, w którym zasiadają niemal wyłącznie sami konserwatyści. A jednak we Francji od lat już kilku nie milkną głosy, nawołujące do naśladowania wzorów Mussoliniego; w Anglii — coraz głośnie o Mosleyu... W Polsce, na której rządy po-majowe bynajmniej skarżyć się nie może ani magnateria, ani wielki przemysł, ani duchowieństwo — te trzy najsilniejsze podpory szacunku dla hierarchii klasowej — powstają, mimo to, coraz nowe awanturnicze gniazda wojującego wstecznictwa. Jeśli rodzi się nowy „bunt młodych”, to będzie to pewnością bunt przeciw aspiracjom klasy robotniczej; jeśli występuje nowy „radikalizm” narodowy, to — pewnością — radykalizm narodowego lub nawet rasowego absurdu.

Te zjawiska, te głosy i nawoływania, zapowiadające zbawienie pod sztandarem faszyzmu, a przede wszystkim podboje, szerzone przez faszyzm w coraz nowych państwach Europy, budzą i budzić muszą niepokój w sercach i umysłach jednostek, które ludzkości nie rozumieją bez ducha, a ducha nie rozumieją bez wol-

## KIELICH UŁUDY W RĘKACH NĘDZARZY

ności. Czy przez jarzmo faszyzmu naprawdę przejść będzie musiała cała Europa? Czy potężny postęp cywilizacji ostatnich lat 150-iu wypadnie okupić zastojem nowego średniowiecza?

Oto trwożne pytania, które coraz częściej słyszeć się dają na szczytach europejskiego intelektu.

Czy faszyzm ma podstawy i widoki podboju władzy na gruncie angielskim lub francuskim?

Widoki te są, w każdym razie, mniejsze, niż te, jakie miał on w Europie środkowej w okresie narastania wpływów Hitlera lub Dollfussa. Obywatel angielski, drobnomieszczanin francuski, cierpieli również niemało w latach powojennych, nietyłe przecież, co ludność Niemiec i Austrii. Ich kompleks niższości w zakresie samopoczucia społecznego nie zarysował się tak jaskrawo, nie wymagał też i tak jaskrawej kompensaty w egzaltacji szowinizmu narodowego: to znaczy — mniej zrodził uprzedzeń przeciw proletariatu i jego polityce. Zarówno Anglja, jak Francja, dzięki zwycięstwu w wojnie światowej, osiągnęły zupełne nasycenie swych uczuć patriotycznych. Wygrały wojnę i w przeciwieństwie do Włoch (które także należały do obozu zwycięzców, ale wyniosły z wojny gorycz i zawód) nigdy nie miały uczucia, że je przy podziale „owoców zwycięstwa” oszukano. Ani Francuz, ani Anglik nie widział, choćby przez chwilę, najmniejszych ku temu powodów, aby czuć się maluczkiem, upokorzonym, wysadzonym z siodła: dlatego też nie miał nagłą.

cej potrzeby szukania nowej nauki i mobilizowania oddziałów szturmowych, któreby nauki tej stały się tarczą i mieczem. Co we Włoszech i w Niemczech było potrzebą psychologiczną, to w Anglii lub we Francji może być tylko zbytkiem i wybrykiem, a więc rzeczą, bez której można się obyć. Obyć się tak samo, jak można się obyć bez herbaty, bez wódki, bez papierosa, wogóle bez środków podniety lub ukojenia.

Tylko, że ten, kto raz w życiu środków takich zakosztował, rzadko zdobywa się na to, aby ich poniechać. Człowiek, nawiedzony zgryzotą, chwytą za kieliszek. Człęk, dręczony rozterką, zapala papierosa... Nerwy, szarpane walką o byt, żądają odprężenia.

A walka ta, od czasu wojny, a zwłaszcza w czasie obecnego kryzysu, jest niesłychanie szarpiąca i ciężka... Cóż dziwnego, że pod uciskiem tej walki rodzi się i coraz bardziej wzmacnia się popyt na środki narkotyczne i na idee narkotyczne? Że środki oraz idee takie krążyć zaczynają nawet w krajach o względnej równowadze, o wysokim stopniu nasycenia dumy narodowej i o znośnej stopie zamożności?

Gospodarka życiowa człowieka w bilansie ostatecznym zawsze wykazuje deficyt. Wykazuje go już choćby dlatego, że nadziejom młodości „górnym i durnym” nigdy sprostać nie może wiek męski — „wiek klęski”, po którym nadciąga starość zgorzkniała i niemocna, mogiłami odosobniona od świata nadługo przedtem, nim sama spocznie w mogile. Te przyrodzone niedobory



## KIELICH UŁUDY W RĘKACH NĘDZARZY

doli człowieczej o ile dokuczliwsze są dziś, w okresie masowego bezrobocia, w okresie kryzysu, gdy miliony młodzieży, wstępującej w życie, nie mogą odeń oczekiwać nic prócz wegetacji. „Lasciate ogni speranza” — ten napis, który Dante umieścił na bramie piekła, ukazuje się zastępom młodzieży dzisiejszej na bramie, wiodącej w życie.

Niegdyś beznadziejność cierpienia, wiekuistość nędzy i poniewierki na ziemi wznosiła oczy ku niebu: szukała pociechy w obietnicach, objawieniach i sankcjach religii. Panteon bogów antycznych strzegł jarzma niewolników, którzy budowali piramidy Egiptu, świątynie Aten i akwedukty Rzymu, jak później cezaropapizm — spadkobierca Ozyrysa, Jehowy i Jowisza — uświęcał i na szyi chłopskiej zaciskał pęto pracy i pokory pańszczyźnianej. Dziś miraż pociech zaświatowych utraciły swoją prastarą władzę nad człowiekiem, ale cierpienia, niedobory i niedole, z których potrzeba pociech owych wyrosła, trwają nadal, jątrzą się i krwawią w łonie ludzkości. Jątrzą się i krwawią może głębiej, niż kiedykolwiek, i dlatego silniej, głośniej wołają o narkotyk.

I oto, gdzie tkwi tajemnica powodzeń i podbojów faszyzmu! Nie w jego planach gospodarczych, nie w jego programie. Programy, które realizują dziś Mussolini i Hitler, nie mają nic wspólnego z tym, w imię którego zdobywali i zdobyli władzę. Faszyzm podbija tłumy, ponieważ obiecuje ulgę i pociechę niezliczonym

jednostkom, które uginają się bądź pod nudą i próżnią swego istnienia, bądź pod ciężarem swych trosk. Nie się im odszkodowanie nędzy codziennej w postaci snów o potędze narodu i państwa; niesie im mundur z różgą liktorską, swastyką lub mieczykiem, liturgję obrzędową, wojskową paradę i dźwięczną komendę.

Dlatego też, jeśli faszyzm opanować ma Anglię i Francję, a wraz niemi i całą Europę kapitalistyczną, drogę do władzy otworzą mu nie argumenty rozumu, lecz uczucia i namiętności. I dlatego każdy przybór alarmów wojennych albo gróźb rewolucyjnych, nieopartych pogotowiem czynu i niemających widoków urzeczywistnienia, może w chwili obecnej jedynie wzmacniać niebezpieczeństwo jego inwazji. „Gdzie panuje lęk przed wojną — twierdzi Aldous Huxley — tam pleni się chwast religji nacjonalistycznej; gdzie istnieje lęk przed rewolucją, tam wzbiera potok nienawiści przeciw klasie robotniczej”. I tam też — dodajmy — natychmiast w ośrodkach kapitalistyczno - finansowych rodzi się postanowienie, aby proletarjat zaskoczyć, nim zdąży zorganizować się do walki, i rozgromić jego siły niejako w drodze „wojny prewencyjnej”. W takiej właśnie wojnie prewencyjnej złamany został proletarjat włoski w r. 1922.

A poza tem: każde pogorszenie się stosunków gospodarczych, każda redukcja na polu pracy i zarobków, tworzy nastroje korzystne dla faszyzmu. Pogłębiająca się nędza wyjaławia umysłowość człowieka

## KIELICH UŁUDY W RĘKACH NĘDZARZY

z zainteresowań społecznych i kładzie się kamieniem szczególnie nieznośnej pustki na ludności miast. Mieszczuch, który nie może pozwolić sobie na najskromniejszą przyjemność, czuje się ofiarą, która często sama nie wie, co ma ze sobą począć. Wejście w szeregi faszyzmu daje takiemu banicie nowe prawo obywatelstwa i nową zasadę bytu, a legitymacja, którą otrzymuje, staje się dlań jakby stałym bezpłatnym biletem do kina: kielichem ułudy, nie mającym dna.



## KATOLICYZM A FASZYZM

Jeszcze niedawno można było stawiać pytanie, czy powstałby ruch faszystowski, gdyby nie było Mussoliniego? Można było pytać: czy Mussolini powołał do życia faszyzm, czy też — odwrotnie — faszyzm zrodził Mussoliniego?

Dziś, gdy gatunek Mussolinich się rozmnożył, gdy istnieje cały szereg państw, z których każde chlubi się własnym Mussolinim, niepodobna nadal upatrywać źródeł ruchu faszystowskiego w wyjątkowych zdolnościach tej lub owej, choćby niepospolitej jednostki.

Dyktatorzy w państwach obecnej Europy kapitalistycznej różnią się od jej dawnych — z bożej łaski — władców tem, że sami sobie muszą drogę do władzy torować, a przynajmniej pomagać okolicznościom, które tę drogę im torują. Wszelako, istota nowej władzy nie odbiega od starej. Władca dzisiejszy, jak dawny monarcha, ma źródło władzy swej nie w sobie, lecz poza sobą, w sieci stosunków, krzyżujących się między ludźmi: jest tej sieci odbiciem i uosobieniem. Jest indywidualną podażą, złożoną w odpowiedzi na popyt zbiorowy.

Dziennikarze nasi, którzy zwiedzają Niemcy, opo-

## KATOLICYZM A FASZYZM

wiadają wręcz fantastyczne rzeczy o admiracji religijnej, otaczającej Adolfa Hitlera. Rozprawy na temat jego poszczególnych, niemal nadprzyrodzonych przymiotów stają się tem żywsze im wyłączenie tajemnic jego zwycięstwa szuka się w nim samym. A tymczasem, jeśli chodzi o Hitlera, trudno byłoby wskazać jakąś inną, poza Mussolinim, postać, któraby w równej, jak on, mierze była węzłem bezosobistych sił historycznych. Niekażdy zapamiętałby drobnomieszczanin mógł stać się Hitlerem, ale coś z Hitlera niewątpliwie, tkwi w każdym drobnomieszczaninie.

Czyż ludzie idą za Hitlerem dlatego, że rozwinął przed nimi zdrowy i realny program? Nie! Idą za nim, ponieważ podoba im się jego figura, wystylizowana na wodza i proroka, jego pewność siebie, jego rozkazodawczy głos, jego upajająca wymowa: wymowa, odwołująca się do najprostszych myśli. Jego program może zawierać w sobie najbardziej biegunowe sprzeczności, dochodzące do zgrzytu; nie podrywa to w niczem jego uroku.

W gruncie rzeczy, jakże mało ludzi na tym świecie troszczy się o logikę i jej prawa! Jakże niewielu również jest i takich, którzy rozumieją swój własny interes! Wulgaryzatorzy marksizmu nauczali, że światem rządzą interesy, ale zapomnieli dodać, że interesem dla człowieka może być nie tylko pieniądz, rozkosz i władza. Pierwsi chrześcijanie, zamykając się w lochach podziemnych lub dając się rozszarpywać przez

## LOS Y INTELIGENCI

zwierzęta na arenach cyrkowych, byli przekonani, że, działając w ten sposób, działają dla własnego dobra, którego miraż płonął przed ich oczami w blaskach zaświatowej chwały. Podobnie obywatele Unji Sowieckiej, znosząc wyrzeczenia i ciężary pięciolatek, żyją i krzepią się wizją szczęśliwości, której, być może, nie ujrzą za życia. Cóż z tego? Ten ideał przyszłości jest interesem, stanowiącym dźwignię ich wysiłków i ofiar.

Ludzie, oczywiście, chcą mieć chleb powszedni, chcą mieć dach nad głową, ale ponadto — niewiele więcej. Bogactwo, którego pragną, jest bogactwem o charakterze raczej psychologicznym: polega na zaspokojeniu ich wewnętrznych, najosobistszych uczuć. Pragną, mianowicie, jak wyraziłby się Amerykanin, „to feel good”: czuć się dobrze i ochoczo. Zręczny „duce”, utalentowany „führer”, może nawet sprawić, że poczują się oni aż nazbyt ochoczo. Wystarczy przeczytać, aby się o tem przekonać, książkę Mowrera: „Niemcy cofają skazówki zegara”, lub choćby jeden z niej rozdział pod tytułem: „Genjalny aktor”. Podany przez Mowrera opis agitacyjnych metod hitleryzmu, wykazuje, że rozumny i przemyślany program byłby dla jego wodza jedynie przeszkodą. Najlepszym programem dla polityka, pragnącego zjednać sobie masy, jest ten, który trafia w ich życzenia i uśmierza, a raczej narkotyzuje ich bóle.

Polem, jak widzimy, na którym faszyzm wygrywa swe najwalsze bitwy, jest pole uczuć i namiętności,



## KATOLICYZM A FASZYZM

nurtujących w masach. Czyż nie wynika stąd, że tylko na tem samem polu może on być pokonany? Najpewniejszym i najzdrowszym przeciw niemu środkiem walki byłaby polityka, która niesie uspokojenie, zażegnawa strach przed jutrem, zapewnia ludziom znośną stopę życia, przywraca wiarę w celowość wysiłku, w możliwość i owocność pracy. Te skromne i proste postulaty w obecnej konjunkturze świata, rozdartego przeciwieństwami i duszącego się w kryzysie, są, niestety, nieosiągalne. A zresztą, gdyby nawet udało się w państwach europejskich złagodzić wzajemne antagonizmy, pomniejszyć bezrobocie, sprawiedliwiej rozłożyć dochód społeczny, podnieść zamożność świata pracy, to i wtenczas pozyskanoby przeciw faszyszmowi środek obrony jedynie uboczny i pośredni.

I dlatego ze zdwojoną mocą wraca ku nam zasadnicze pytanie: czy istnieje, czy jest możliwy jakiś oręż przeciw faszyszmowi, mający bezpośrednią moc obrony, moc rozkazodawczą, czerpaną z uczucia i zdolną stać czoło uczuciom?

Tak, taki środek obrony istnieje. Istnieje niewątpliwie; lecz jakkolwiek środek ten jest skuteczniejszy i zawierać w sobie może bezpośrednią siłę kontrataku, to jednak zgóry należy zastrzec, że jest mniej bezpieczny. Bezpośrednia bowiem obrona przeciw faszyszmowi polegałaby na wynalezieniu jakiejś antyfaszystowskiej religji, zdolnej obdarować masy taką samą iluzją szczęśliwej pewności siebie, jaką daje faszyzm.

## LOSY INTELIGENCJI

Ten wszakże, ktoby na taki eksperyment się ważył, wpadłby z deszczu pod rynnę. Religja bowiem antyfaszystowska, jeśli ma mieć widoki powodzenia, musiałaby w te same uzbroić się środki, któremi zwycięża faszyzm. Musiałaby nieść udręczonej ludności te same trunki oszołomienia, te same narkotyki.

Doniedawna mogły być brane w rachubę dwa wielkie systemy antyfaszystowskie: komunizm moskiewski i katolicyzm rzymski: dwie potężne kolumny, dwie wrogie sobie organizacje światowe — internacjonal kościoła oraz internacjonal proletariatu.

Dziś z tych dwóch kolumn tylko jedna, kolumna proletariatu, stawia opór faszyzmowi. Kolumna kościoła rzymskiego coraz wyraźniej z pola walki przesuwają się na pole przymierza z faszyzmem. O narastającej spójności tego przymierza świadczy konkordat papieża z Mussolinim i z Hitlerem; jeszcze dobitniej świadczy o niej krwawy przewrót faszystowski w Austrii, poparty przez Benita, pobłogosławiony przez Piusa.

Ciosy, pod którymi runął w Austrii piętnastoletni dorobek pracy i gospodarki robotniczej, powinnyby — zdawało się — pogrzebać resztki wiary w to, że katolicyzm rzymski może być szańcem obronnym przeciw faszyzmowi. A jednak, mimo lekcji krwawych doświadczeń, wiara ta, jak żyła, tak żyje nadal, a w Polsce żyć będzie zapewne jeszcze długo, dłużej, niż gdziekolwiek na świecie.

Skądże płynie ta wiara i nadzieja, pokładana w kle-

## KATOLICYZM A FASZYZM

rze rzymskim, jako w szańcu obrony przeciwfaszystowskiej? Czy tylko z przepaści ideologicznej, jaka faszyzm, a zwłaszcza rasizm dzieli od katolicyzmu?

Ta przepaść ideologii odgrywa dużą rolę, lecz sama przez się nie byłaby czynnikiem, wystarczającym dla skupienia na klerze katolickim tak naiwnej i tak modnej nadziei. O wiele ważniejszy jest tutaj motyw inny, negatywny. Motywem tym jest przeświadczenie całej demokracji mieszczańskiej, że, gdy odrzuci katolicyzm rzymski, nie pozostanie jej nic innego jak stanąć oko w oko z Moskwą i wszechświatowym systemem komunizmu.

Ten to strach, strach przed komunizmem, jest dziś siłą, która cementuje przymierze kościoła z faszyzmem, a jednocześnie wzmacnia szanse faszyzmu o całą hierarchję wpływów, jakimi kościół rozporządza nad duszami maluczkich, ubogich, pokornych i zrezygnowanych.





II  
NA ŚLEPYM TORZE





## W OKOPACH ZESZŁEGO STULECIA

Raz do roku, koło św. Jana, zbiera się w Genewie, w pałacu Ligi Narodów, konferencja, której scenarjusz znamy wszyscy, jak galowe nabożeństwo, i której przebieg zamyka się w ceremonjale tak bezużytecznym i przepisowym, jak pogrzeb chińskiego mandaryna.

Mam na myśli doroczne konferencje Międzynarodowego Biura Pracy, poświęcone tradycyjnym rozprawom nad zagadnieniem 40-godzinnego tygodnia roboczego. Konferencje te, dla szerokiej społeczności ledwie dostrzegalne, a przypominające o sobie negatywnymi jedynie wynikami, godne są przecież uwagi, jako symptomat naszej ery, jako tragiczny znak błędnego koła, w którym gubi się gospodarka współczesna.

Jak uprzednio, tak i w roku 1935, na konferencję zjechały delegacje ze wszystkich pięciu części świata, od południowego cypla Afryki aż do wybrzeży Dalekiego Wschodu: ta wszechglobalność przedstawicielstwa należy do najświętobliwszych obyczajów instytucji genewskiej. Delegacje, zazwyczaj, nie dochodzą do żadnych uchwał, ale mogą pochwalić się tem, że zasiadają... w komplecie.

Delegacja każdego kraju składa się, jak wiadomo,

z trzech grup, a mianowicie z przedstawicieli: rządu, przedsiębiorców i pracowników. Konstrukcja taka zgóry obliczona jest na to, aby móc bez hałasu pogrzebać każdy rzeczowy wniosek robotniczy, choćby tak pilny i tak głęboko w konieczności gospodarczej założony, jak wniosek o skrócenie dnia pracy w najważniejszych gałęziach wytwórczości.

Wystarcza, istotnie, aby wnioskowi takiemu przeciwstawili się przedsiębiorcy, ba! wystarcza, aby uchylili się od dyskusji nad nim, a już wniosek zawisa w próżni; przedstawiciele bowiem rządów dalecy są od tego, aby silnie i skutecznie podać rękę delegacjom robotniczym.

Tak było w roku przeszłym; tak było w pozaprzeszłym. Formalnie sprawa niby to posuwa się naprzód, lecz merytorycznie, jak stała, tak stoi w miejscu.

Głos rozstrzygający w Lidze Narodów oraz w jej szlachetnych urzędach mają wielkie mocarstwa Zachodu, a w tych wielkich mocarstwach rządzi nie świat pracy, lecz świat finansów, przyczem obojętną jest rzecz, czy finanse te rządzą spoza kulis parlamentu, czy spoza dyktatury faszystów.

Międzynarodowe Biuro Pracy jest ożywione niewątpliwie najlepszymi chęciami. Wierzymy, że ponawiając na sesji ostatniej postulat 40-godzinnego tygodnia roboczego w całym szeregu przemysłów, dojrzałych do tego postępu, działało szczerze i chciało działać skutecznie. Biuro to, powołane do życia wspólnie z Ligą

## W OKOPACH ZESZŁEGO STULECIA

Narodów, jako jej człon organiczny, mający demokrację polityczną uzupełniać przez demokrację robotniczą, nie chce z rąk wypuścić sztandaru, na którym wypisała swe nadzieje ludzkość, skrwawiona wojną i udręczona tyranją absurdów gospodarczych. Ale Biuro to, gdyby nawet samo wcielonym stało się sztandarem dążeń i wymagań pracy, byłoby sztandarem, targanym przez wrogie prądy i unieruchomionym przez sprzeczne siły, tkwiące u podstaw jego organizacji. W skróceniu dnia roboczego widzi ono, być może, naprawdę ważny i nieodzowny krok na drodze walki z bezrobociem. Ale przeświadczenie o potrzebie tego kroku jest w Genewie tylko wnioskiem, wysnutym ze stosu tablic statystycznych, piętrzących się cierpliwie w jej archiwach. Nie jest krzykiem, wydzierającym się z głębin ludzkiej tragedji. Nie stanie się też siłą, zdolną z martwego punktu ruszyć bryłę ucisku, pod którym uginają się dzisiaj miliony bezrobotnych.

W takich warunkach 40-godzinny tydzień roboczy może stać się mitem, który na porządku obrad genewskich utknie i zastygnie jak Twardowski na księżycu. Upór delegacji przedsiębiorców, przy życzliwej dla nich neutralności rządów, będzie tam zawsze dość silny, aby sparaliżować delegację pracy. Owi zaś „biegli” i „specjaliści”, których stale, ilekroć zechce, wynajmować może kapitał dla obrony swych interesów, rozwijać będą z całą powagą wszelkie możliwe i niemożliwe argumenty przeciw reformie, o którą woła życie.



## NA ŚLEPYM TORZE

Gdy argumentom tym przyjrzymy się zbliska, przekonamy się, że prawie wszystkie one kwitną pleśnią starzyny. Przypominają one, istotnie, te, któremi sto lat temu usiłowano zwalczyć tydzień 60 godzinny. W owych czasach, jak wiadomo, dzień pracy w Anglii trwał godzin 11 i pół (pracowano po 12 godzin w ciągu 5 dni i 9 godzin w sobotę), co w sumie dawało 69 godzin pracy tygodniowo.

Tę kolosalną, zaiste barbarzyńską, miarę wyzysku przedsiębiorcy sprzed lat stu uważali za dogmat, od którego, pod karą bankructwa, niewolno im było odstąpić. Profesorowie angielscy W. Senior i Andrew Ure, oddając usługi swe „pracodawcom“, bronili wówczas tej miary wyzysku z zapałem niemnniejszym od tego, z jakim obecnie delegaci przedsiębiorstw w Genewie zwalczają tydzień 40-godz. Wykazali oni „z ołówkiem w rękę“, że czysty zysk przedsiębiorcy pochodzi z ostatniej godziny pracy każdego dnia. „Jeśli — dowodzili owi usłużni profesorowie — skrócić dzień roboczy o godzinę, ów zysk czysty zniknie bezpowrotnie; jeśli zaś skrócić dzień roboczy o półtorej godziny, przepadnie także i dochód ogólny“. Nie poprzestając na argumencie utraty zysków materialnych, obrońcy przedsiębiorców szli dalej i straszili dewastacją moralną, której łupem stać się miały niewinne dusze młodych dziewcząt i chłopców poniżej lat osiemnastu, jeśliby dano im było warsztaty fabryczne opuszczać co dzień o godzinę wcześniej. W tem skojarzeniu docze-

nych interesów kapitalisty z troską o zbawienie wieczne młodych dusz robotniczych, zagrożonych pokusami grzechu i lenistwa, rzecznicy przedsiębiorców znaleźli do popisu pole, na którem triumf święcić mogła nietylko pomysłowość uczonych, ale i subtelność moralistów.

Czy trzeba dziś nanowo otwierać łamy pism dla polemiki, która rozegrała się przed stu laty? Trzebaż przypominać, że argumenty przedsiębiorców oraz ich „uczonych” adwokatów obalone zostały przez Marxa, dając mu w 1-ym tomie „Kapitału” wspaniałe pole do błysnięcia genjuszem sarkazmu, godnym stylu wielkich proroków biblijnych? Wystarczy chyba stwierdzić, że obaliła je sama praktyka życia. Naprzekór trwogom przemysłowców, przyszedł dzień ograniczony do dziewięciu, a potem ograniczony do ośmiu godzin pracy. Gdyby wyliczenia ich były słuszne, wszystkie fabryki Europy powinnyby, poczynając od roku 1850, pracować ze stratą. A przecież, mimo obciążenia wielu „ostatnich godzin”, w których właściciele fabryk upatrywali jedyny i cały swój zysk, dochody ich jakoś nie doznały uszczerbku. W okresie tłustych lat 1922—1929, przy dniu roboczym skróconym znacznie poniżej godzin 11-stu, dochody przedsiębiorstw w St. Zjednoczonych wzrastały o więcej, niż 6 proc rocznie, gdy tymczasem roczny wzrost zarobków świata pracy nie przekraczał 2 proc.

Technika nowoczesna zredukowała znacznie sumę pracy niezbędnej dla każdego do zaspokojenia jego

## NA ŚLEPYM TORZE

potrzeb życia. Pokazało się to już podczas wojny ostatniej, gdy wszyscy ci, których powołano do służby na francie, do robót w zakładach amunicji i uzbrojenia, do zadań propagandowych i wywiadowczych, oderwani byli od pól i warsztatów pracy wytwórczej. Część wprawdzie szeregów, powołanych pod broń w jednym kraju wracała — w postaci jeńców wojennych — do robót wytwórczych w kraju przeciwnika, ale jako siła pomocnicza i zastępcza, czyż mogła, będąc ułamkiem rąk, pochłoniętych przez wojnę, zrównoważyć i powetować ich ubytek? A przecież mimo tego kolosalnego sił ludzkich odpływu od pól produkcji ku polom śmierci i zagłady, organizm gospodarczy społeczeństwa nie stanął, żadna z jego czynności żywotnych nie zamarła. Głód, jaki pod schyłek wojny zwałił się na obóz mocarstw środkowych, spowodowany był nietyle przez ubytek rąk roboczych, ile przez blokadę żywnościową, która Niemcy odcięła od dowozu surowców. W krajach natomiast Entente'y, która korzystała ze źródeł surowcowych całego świata, materialna stopa życia pracowników najemnych była podczas wojny wyższa, niż kiedykolwiek przedtem albo potem. Doniosłość tego faktu oraz jego rewolucyjną wymowę przesłoniły finansowe transakcje: pożyczki wojenne stworzyły pozór, jakoby terażniejszość ówczesna żyła na koszt przyszłości. Było to, rzecz prosta, złudzenie, gdyż nikt nie spożyje chleba, który nie został jeszcze wypieczony; nikt nie przywdzieje koszuli, utkanej ze



## W OKOPACH ZESZŁEGO STULECIA

lnu, który jeszcze nie wyrósł. Złudzenie, o którym tu mowa, jak tyle innych idolów, przewodniczących współczesnemu światu, rozdartemu kontrastami nędzy i zbytku, zainscenizowane było przez banki, których wiedza tajemna i sztuka polega na tem, aby przez odpowiednio zbudowaną grę fikcyj i symbolów utrzymać rzesze pracowników najemnych w wiecznej pokucie ubóstwa, ograniczonej zaś elicie finansjery zapewnić stały dosyt władzy i użycia bogactw.

Wojna światowa przyniosła dowód ostateczny na to, że dziś, przy naukowej organizacji wytwórczości, jest rzeczą najzupełniej możliwą, wyzyskując choćby część tylko rozporządzalnych sił i środków technicznych, zapewnić wszystkim warstwom społecznym stosunkowo wysoki poziom zamożności.

Gdyby po zakończeniu wojny zachowano naukową organizację produkcji; gdyby to, co stworzone było dla celów niszczytelstwa, utrzymano w mocy dla zadań budownictwa, i gdyby jednocześnie zmniejszono do miary właściwej długość dnia roboczego, gospodarka światowa, prawdopodobnie, innemi poszłaby torami. Klęska bezrobocia nie spiętrzyłaby się tak groźną lawiną, jak ta, pod którą ugina się dzisiaj świat cały. Równomierniejszy rozkład pracy nie doprowadziłby do tak tragicznych paradoksów, że gdy — jak głosi statystyka zeszłego roku — około trzech milionów ludzi na całym świecie zmarło z głodu lub popełniło samobójstwa z nędzy, jednocześnie około miliona wago-

nów zboża, ryżu, kawy i cukru zniszczono w celu podniesienia cen. Krzywda i rozpacz mas, odepchniętych od pracy i wydziedziczonych z prawa do zarobku, a w najlepszym razie skazanych na jałmużnę społeczną, nie osiadałaby tą groźbą niepokoju, przeciw której oligarchja finansowa szuka tarczy w ustrojach fałszyżmu.

Zamiast przejść do rozumnych reform, miast skorzystać z podbojów techniki, dających możność wyzwolenia człowieka z jarzma odwiecznego trudu, który teraz przestał już być koniecznością życia, oligarchja ta wołała wstrzymać zdobycze cywilizacji, byle nie rozluźnić jarzma na karku pracy. Przywrócono stare rządy chaosu: ci, którym dano pracę, zmuszeni są pracować ponad miarę; pozostałych, jako bezrobotnych, skazano na głód.

Wyobraźmy sobie, że w danej chwili pewna liczba robotników zatrudniona jest w wytwórczości igieł do szycia. Przy 8-godzinnym dniu pracy, robotnicy ci — dajmy na to — wytwarzają dość igieł, aby obsłużyć popyt całego świata na ten artykuł. Teraz wyobraźmy sobie, że dokonano wynalazku, dzięki któremu ta sama liczba robotników w tym samym czasie wyprodukować zdoła podwójną ilość towaru. Cóż się wtedy stanie? Świat podwójnej produkcji igieł nie potrzebuje i zużyć jej nie może: igły stały się tak tanie, że dalszy spadek ceny nie wzmoże na nie popytu. Cóż wtedy? W świecie, który powoduje się rozsądkiem, wytwórnice

igieł z dnia pracy 8-godzinnego przeszłyby stopniowo na dzień 7-mio, 6-cio, 5-cio i wreszcie 4-godzinny, i — wszystko nadal szłoby tokiem zwyczajnym. W podobny sposób, w drodze przemian stopniowych, pod wpływem nowych wynalazków i odkryć, przeprowadzanoby skrócenie dnia pracy we wszystkich innych przemysłach — aż do momentu wchłonięcia, przez warsztaty produkcji, wszystkich ludzi, poszukujących pracy i zarobku. Ponieważ postęp techniczny nie w jednakowym towarzyszy rytmie wszystkim odłomom wytwórczości, przeto zastęp robotników, którzy zbyt wcześnie stali w odłame wyżej posuniętym na drabinie techniki, zasilałby odłamy niżej stojące, luzując towarzyszy przy warsztatach, wymagających obsługi liczniejszej lub dłuższej.

Pociągnęłoby to za sobą potrzebę pewnych w świecie rąk roboczych przesunięć i procesów wyrównawczych, które musiałyby odbywać się pod kontrolą jakiejś centralnej Izby pracy. Organizacja i działalność takiej izby kontroli wymagałaby i wysiłku i kosztu. Wszelako ci, którychby koszt taki i wysiłek płoszył, niech sami sobie wprzód odpowiedzą na pytanie: ile kosztuje nas bezrobocie? ile idzie w nim nadaremne sił ludzkich, nie tylko fizycznych, ale i moralnych?

Napróżno jednak pytanie takie stawialibyśmy w Genewie, w obliczu Międzynarodowego Biura Pracy, w którym nie praca, lecz kapitał finansowy ma głos rozstrzygający. Delegacje tego kapitału — rok po ro-



ku — milionogłosym chórom bezrobocia nie mają do oświadczenia nic ponad to, co przedsiębiorcy angielscy mówili sto lat temu przez usta S. Seniora i A. Ure'a, broniąc okopów 69-godzinnego tygodnia pracy.

— Niech wszystko — wołają — pozostaje postaremu! Robotnicy niech nadal pracują po osiem albo i więcej godzin dziennie!

Postaremu: wiemy jak to wygląda. Niesprzedane zapasy towarów piętrzyć się będą w przepełnionych magazynach; wiele przedsiębiorstw runie; część spośród dotychczas zatrudnionych robotników znajdzie się na bruku. W rezultacie suma zaoszczędzonego czasu będzie ta sama, jaką dałoby się osiągnąć przez skrócenie dnia pracy, tylko że teraz część robotników pozostanie zupełnie bez pracy, gdy tymczasem reszta, jak przedtem, uginać się będzie pod jej nadmiarem. W taki to sposób, w dotychczasowych ramach gospodarki, swoboda, płynąca dla człowieka z postępu technicznego, zamiast stać się dlań źródłem pomyślności i szczęścia, wyzwolenia i pogody ducha, niesie wszystkim, poza małą grupą potentatów pieniądza, niewolę, nędzę i zatracenie.

Czy można wyobrazić sobie większy obłęd? większą niedorzeczność, niż ów ślepy, nieprzejednany upór, z jakim przedsiębiorcy dzisiejsi wysuwają przeciw redukcji dnia roboczego te same argumenty, które były fałszywe już sto lat temu? Lecz jeśli argumenty kapitalistów pozostały te same, z tą chyba je-

## W OKOPACH ZESZŁEGO STULECIA

dyną różnicą, że pracodawcy obecnie mniej troszczą się o „zbawienie duszy” swych robotników, niż przed stuleciem, to cała sytuacja kapitalizmu uległa zmianie: zmianie tak głębokiej, że graniczy niemal z przewrotem.

Sto lat temu kapitalizm był potęgą, która wyruszała na podbój świata. Jego zdobywczy pochód otwierał przed nim coraz rozleglejsze rynki we wszystkich częściach globu. Te obce, zamorskie rynki przedstawiały tak szeroką pojemność, tak nieograniczoną, zdawało się, chłonność, że wszelkie postępy i zdobycze techniki, zwielokrotniając wydajność produkcji, zaledwie nadążały za potrzebami i pokusami zbytu. Pierwsze kroki do skrócenia dnia roboczego przedsiębiorcy kompensowali sobie w ulepszeniach techniki, dzięki którym nie uszczuplając zarobków pracy, mogli byli nie podnosić kosztów produkcji. Obfite dochody kapitału pozwalały mu unikać zbyt ostrych zatargów ze światem pracy. Pozwalały mu nawet na pewną hojność, która przesłaniała istotę konfliktu. Wtenczas to były także złote czasy parlamentaryzmu, którego kartka wyborcza zdawała się najwyższą i ostateczną instancją w rozstrzyganiu sporów nie tylko politycznych, ale społecznych i gospodarczych. Nowe, otwarte dla kolonizacji kraje zamorskie, pochłaniały z przyrostu ludności europejskiej ten nadmiar, który nie znajdował dla swych rąk zastosowania na miejscu. Zdobywczy, pionierski kapitał torował drogę zdobywczej przedsiębior-

czej emigracji. Kwestja bezrobocia, jako zjawiska stałego, jako burzy, która narasta w łonie społeczeństwa, nie była znana.

Dziś kapitalizm wszedł w okres przesilenia. Rynek światowy się zacieśnia, pola zbytu stają się coraz szczuplejsze. Postęp techniczny nie przestaje swego rytmu narzucać produkcji, ale dalszą stopniową redukcję dnia roboczego mógłby on powetować sobie jedynie wtenczas, gdyby nowe, udoskonalone instalacje pracowały pełnią swej siły i wydajności; pełnię zaś i wydajność produkcji mogłyby one osiągnąć tylko pod tym warunkiem, gdyby widoki zbytu nie zacieśniały się, lecz rozszerzały i rosły, to zn. gdyby ich szukano już nie zagranicą, tylko we własnym kraju, we wzmożonej sile nabywczej szerokich rzesz pracownicznych. Wiemy wszakże, że tendencje współczesnego kapitalizmu idą wręcz naprzekór interesom i potrzebom szerokiego rynku: oto przyczyna, dla której robotnicy, rugowani przez rozwój maszynizmu, głodują i toną w poniewierce bezrobocia.

Obecny opór przedsiębiorców przeciw 40-godzinnemu tygodniowi pracy pochodzi więc z dwóch źródeł: składa się nań tyleż stare zaślepienie sprzed stulecia, co nowe fatum lat ostatnich. To nowe fatum gospodarcze, wyrażające konieczność wzrastającego zastoju w organiźmie sił twórczych, przeciwstawia się również nowym, a stokroć żywotniejszym, stokroć potężniejszym koniecznościom społeczeństwa i jego rozwoju:



## W OKOPACH ZESZŁEGO STULECIA

staje zaporą na drodze do dźwignięcia się z nędzy bezrobocia coraz szerszych rzesz ludności.

Wprowadzenie tygodnia 40-godzinnego, a stąd przejście stopniowe do miar pracy coraz krótszych, przy zachowaniu, a nawet podniesieniu, dotychczasowej stopy płacy zarobkowej, zapewniłoby rzeszom pracowniczym wzmoczoną siłę nabywczą i otwarłoby upragnioną drogę dla zbytu produkcji. Ale reformy te pomniejszyłyby beneficja kapitału, a kapitałiści, którzy dalecy są od filantropji — ani myślą o wyrzeczeniu się choćby części lub części swych dochodów.

Z drugiej strony, dotychczasowa długość tygodnia pracy oraz dotychczasowy, głodowy poziom płac zarobkowych, jakkolwiek rokują przedsiębiorcom zyski dość pokaźne, to jednak zyski te mają tę właściwość niemiłą, że stają się coraz bardziej nieuchwytne. Istnieją one na papierze, w kolumnach cyfr buchalteryjnych; lecz ponieważ towary wyprodukowane nie znajdują zbytu dla braku nabywców, zasobnych w środki, przeto zyski nie mogą się zmaterjalizować. Zysk bowiem materjalizuje się dopiero wtenczas, gdy sprzedany towar zmienia się w gotówkę albo w bilety bankowe.

Kapitałiści - przedsiębiorcy znaleźli się na ślepych torze: jeśli zgodzą się na skrócenie tygodnia pracy, ich zyski ulegną redukcji; jeśli się nie zgodzą, zyski swoje zachowają, ale, dla braku nabywców, zmuszeni będą je uwięzić w towarach, które nie znajdują kupca.

## NA ŚLEPYM TORZE

W obliczu oporu, jaki oligarchja finansowa stawia najślusznieszym i najrozsądnieszym żądaniom pracy najemnej, walka o skrócenie tygodnia roboczego wejść musi w nową fazę. W miarę, jak świat pracy zdawać sobie będzie sprawę z istotnych przyczyn nieustępliwego stanowiska „pracodawców”, coraz większy nacisk będzie on musiał kłaść na połączenie hasła „40-stu godzin” z żądaniem uspołecznienia głównych, kluczowych gałęzi przemysłu \*).

Skoro bowiem tydzień czterdziestogodzinny podważa zasadniczy w gospodarce kapitalistycznej bodziec wytwórczości, zwany zyskiem, to świat pracy nie będzie miał innego przed sobą wyjścia, jak zastąpić bodziec ów, coraz bardziej tracący na sile, bodźcem potężniejszym i trwalszym: motywem potrzeb zbiorowości. Jeżeli gospodarka, nastawiona na zysk osobisty przedsiębiorcy zawodzi i załamuje się pod własnym bezwładem, ogładzając i rujnując społeczeństwo, to przestawić ją należy na tory inne: na tory pracy i produkcji, organizowanej nie dla zysku jednostki, lecz dla pokrycia potrzeb całej społeczności. Ale właśnie produkcja dla potrzeb społecznych wymaga, aby społeczeństwo mogło swobodnie rozporządzać instrumentami wytwórczości zbiorowej; aby instrumenty te przestały stanowić własność prywatną kapitalistów i stały się własnością narodu.

---

\*) Amerykański ruch robotniczy już w r. 1933 wystawił hasło 30-godzinnego tygodnia pracy.

## WŁOSIENNICE POKUTY

Kapitalizm który w dobie swego rozkwitu — jeszcze 100 lat temu, a nawet jeszcze lat temu 50 — był nietylko motorem, coraz wyżej podnoszącym w życiu stopę wymagań materialnych, ale potrafił również wymagania te zaspokajać w coraz szerszej skali społecznej, dziś, w dobie powojennej, a zwłaszcza w dobie obecnego kryzysu, odwróciwszy się plecami do dawnych pokus bogactwa i obfitości, cofa się na reduty średniowiecza, potrząsa szarą włosiennicą ascezy i głosi światu te właśnie cnoty wyrzeczenia te wychowawcze zalety ubóstwa, które sam niegdyś najokrutniej potępił i wyszydził. Że, głosząc swą zbawienną kurację głodową, sfery finansowe nie zaczynają jej od siebie, lecz idą z nią przedewszystkiem do świata pracy, do proletariatu, to jest to już zjawiskiem wtórnem, wynikającym nietylko z przedmiotowej djałnozy współczesnych stosunków gospodarczych, ile z naturalnych popędów psychologii ludzkiej.

Widząc coraz bardziej kurczący się rynek zbytu, czując coraz dotkliwiej wzrastające koszty produkcji, kapitał przemysłowy buntuje się przeciw ciężarom



społecznym, przeklina fundusze bezrobocia, wzywa do krucjaty przeciw ubezpieczeniom robotniczym. Spychając coraz szersze zastępy ludu w nędzę bezrobocia, plutokracja, skupiająca w swych rękach monopol produkcji w koncernach i kartelach, gromi jednocześnie cały świat pracy fizycznej i umysłowej za rozrzutność i zbytek, wytykając nędzarzom, że żyją nad stan, że nie chcą zaciskać pasa, że z otchłani, w którą zostali strąceni, wyciągają ręce po zasiłki. „Róbcie, co chcecie, ja was dłużej karmić nie mogę!” — oto słowa, z którymi do robotników i pracowników umysłowych zwraca się dzisiaj plutokracja, skupiona w ośrodkach dyspozycji gospodarczej; plutokracja, która jednego dnia nie wyżyłaby bez wyzysku pracy najemnej.

Te słowa, nacechowane nieludzką wręcz bezwzględnością, tają w sobie w istocie coś gorszego, niż nieludzkość i egoizm: w słowach tych monopolistyczny kapitał powojenny zamyka tragiczny swój upadek wiary w powrót pomyślnej konjunktury, w zasadę swego własnego rozwoju, w swoją własną przyszłość. Przestaje on wierzyć w to, że uda mu się odzyskać stanowisko, jakie miał przed wojną: on, który olbrzymie masy ludzkie kusił mirażem powszechnego dostatku, dziś odbiera robotnikom nawet te skromne zdobycze, które sobie w długich bojach wywalczyli.

Uprzemysłowienie, porywające kraje kolonjalne w wiry własnej, samodzielnej wytwórczości, a także

wyosobnienie się Unji Sowieckiej w imperjum, dążące do samodzielności gospodarczej, wszystko to podkopyje i zamyka dalsze widoki eksploatacji, jaką wysoko rozwinięty kapitał imperjalistyczny uprawiał na terytorjach o charakterze pierwotnym. Andrzej Siegfried, słynny ekonomista francuski, w odczycie swym, niedawno wygłoszonym w Warszawie, niedarmo wydobył na jaw i z naciskiem podkreślił ów związek bezpośredni, jaki zachodzi w gospodarce europejskiej między stopniową utratą rynków zamorskich a obniżającym się poziomem zarobków klasy pracowniczej i całej wogóle ludności. Bezrobocie, które w ciągu szesnastu lat ery powojennej nie schodziło w Anglii poniżej liczby miliona ludzi, które w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych A. P. dosięgło w tymże czasie rozmiarów dwakroć wyższych, niż przed wojną, dowodzi, że milionowe zastępy ludzi stały się dla obecnego systemu gospodarczego — tylko zbytecznym balastem.

I gdy z jednej strony wszystko, co jest w narodzie instynktem życia i zdrowia, wolą rozwoju i potęgi, wzywa do wiary w siebie, do budowania przyszłości, do urastania w liczbę, do pomnażania w masie ilości żywej siły, tej podstawy wszelkiego doboru i wszelkiej jakości, z drugiej strony kapitalizm współczesny, nieubłagany jak barjera śmierci, odrzuca od progów życia całe pokolenia młodzieży, całe zastępy młodości, zawieszając nad nimi ten straszny wyrok: „Je-

steście zbytęczni! Niema dla was pracy i chleba! Gryźcie ziemię w rozpaczę, nim zgryzie was ziemia cmentarza!"

I dlatego to, że kapitalizm powojenny nie może milionom ludzi nieść nic innego, tylko wyrok zagłady; że pogrzebał wszystkie nadzieje, jakie niegdyś zrodził i zapalił nad światem; że sam obalać musi te przywileje, jakie dawniej pewnym kategorjom robotników zapewniał; że wogóle spycha on i poniża godność pracy w człowieku, dlatego właśnie przestaje dziś bawić się w demokrację i ucieka w popłochu pod żelazną tarczę dyktatury. Ponieważ zbankrutowały jego metody gospodarki, więc obwieszcza światu, że zbankrutowała wolność. Ponieważ nie może on milionom ludzi dać pracy, nie potrafi przyodziać ubogich, a bezdomnym dać dachu nad głową, więc chce wszystkich ludzi ubrać we włosiennice, nim ich ubierze w kajdany.

Jeden z niemieckich heroldów „narodowego socjalizmu“ bawiąc w Warszawie, oświadczył swym polskim słuchaczom, że hitleryzm, tak samo jak faszyzm włoski, nie jest towarem na eksport. Tak, zapewne. Sprzeczności, w jakich miota się dzisiaj kapitał monopolistyczny, a zwłaszcza aparat kredytowy i monetarny, mają w każdym kraju swe odrębne krajowe zabarwienie. Ale istota ich jest wszędzie jednakowa. I wszędzie, niestety, jednakowa jest ujawniana przez kapitalizm powojenny dążność do odgrywania się na



## WŁOSIENNICE POKUTY

połu politycznem za klęski, zawinione w dziedzinie gospodarczej.

Jakkolwiek jaskrawe mogą być nimby, które wokół głów swoich zapalają Mussolini i Hitler, nie zdołają one blaskiem swym przesłonić tego, co jest krwawiącą raną ich krajów i co jątrzy się niemniej bolesnym kontrastem w innych cywilizowanych krajach kapitalistycznych. Nie przesłonią tego, że wśród niesłychanych bogactw i możliwości wytwórczych miliony ludzi cierpią niedostatek i głód. Nie przesłonią tego, że robotnik dzisiejszy przykuty jest do maszyny, która nie pozostawia mu ani chwili dla odruchu myśli własnej, dla strzępka własnego uczucia. Nie przesłonią i tego, że robotnik, wyciśnięty pracą fabryczną, jak cytryna, wracając od warsztatu niezdolny już bywa zająć się czemkolwiek, poza kinem lub szynkiem. Robotnik w państwie faszystowskiem nie ma nad sobą indywidualnego władcy niewolników, ale, jako klasa, znajduje się on zbiorowo w rękach olbrzymiej maszyny kapitalistycznej, bezlitośnie wywierającej nań ucisk i miażdżącej go w razie najłżejszego oporu.

W powojennym systemie kapitalistycznym gospodarka opiera się na żelaznej osi, której jeden biegun skupia na sobie przymus pracy, drugi — przymus bezrobocia. Zdawałoby się, że wszystkie wysiłki teorii i praktyki współczesnego świata iść powinny w kierunku rozładowania tragicznego przeciwieństwa, jakie

## NA ŚLEPYM TORZE

narasta między obu biegunami tej osi niewolnictwa. Dynamit gromadzący się w tem przeciwieństwie, może wysadzić z posad cały dorobek naszej cywilizacji. Ale ani faszyzm włoski, ani narodowy socjalizm niemiecki o to nie dbają. Ich wysiłki idą po linii najsłabszego oporu.

Rozłożyć ciężar pracy na całym froncie społecznym i walczyć o racjonalny podział dochodu zbiorowego? Nie, to — przerasta ambicje faszyzmu. On zadanie swe uważa za spełnione, skoro robotnikowi, przykutemu do warsztatu wydrze z rąk tę resztę wolności, która przysługiwała mu dawniej, gdy, wyszedłszy z fabryki, miał prawo uczuć się człowiekiem i obywatelem.

## DWIE MIARY

Sfery gospodarczo-kapitalistyczne wspierają się w każdym kraju na systemie szeroko rozwiniętej sieci monopolów, prerogatyw, ceł ochronnych, taryf protekcyjnych, premij wywozowych i wielorakiego dumpingu. To głębokie wrośnięcie w system opieki i reglamentacji, zapewnianej przez Państwo, nie przeszkadza jednak sferom gospodarczym ubierać się od czasu do czasu w maskę antyetatyzmu, gromić swego opiekuna, szantażować go, a nawet publicznie się go wypierać. Rzecby można, że ci, którzy na polu gospodarczym najwyższe ciągną zyski z etatyzmu, jednocześnie znajdują niekiedy szczególną satysfakcję w tem, aby go zniesławiać, atakować, a przytem czynić zeń kozła ofiarnego za wszystko zło, za wszystko nędzę, pod którą ugina się społeczeństwo.

Niema miesiąca, niema tygodnia, aby z próbą podobnych ataków nie występował ten lub ów dziennik, ten lub inny, nieraz wybitny nawet ekonomista, piętnując etatyzm gospodarczy, a zwłaszcza gospodarke planową, jako szkołę demoralizacji i źródło znieprawiania obywateli. „Planowość i racjonaliza-



## NA ŚLEPYM TORZE

cja — zdają się wołać coraz to inne głosy z tego samego splotu interesów — oto wróg!”

Tym rzekomo znieprawiającym wpływom tendencji planowych głosy owe radeby przeciwstawić moralną wyższość dawnego kapitalizmu liberalnego z jego indywidualną żądzą zysku, jako jedyną dźwignią wytwórczości. Czując wszakże całą sztuczność i cały anachronizm swego stanowiska, cofają się przed jego konsekwencjami i półgębkiem zaledwie — jak czytaliśmy ostatnio w pewnym popularnym dzienniku — prawią o tem, „jak wysoki był, mimo wszystko, standard moralny tego wzgardzonego liberalizmu”.

Myliłby się wszakże ten, ktoby mniemał, że sfery gospodarcze, kokietując liberalizm, naprawdę tęsknią tylko za tem, aby paść spowrotem na jego łono. Nic podobnego. Fabrykant może piorunować na etatyzm, ile się zmieści, ale próżno namawialibyśmy go, aby w imię swej tezy rzekł się ochrony celnej dla swej produkcji. Podobnie, obszarnik, zachwycający się liberalizmem, nie odstąpi od żądania premji wywozowej na zboże, a kartel, choćby najkorniej chylił głowę przed „wysokim standardem moralnym wzgardzonego liberalizmu”, nie przekreśli zasady, na której sam się wspiera, aby wrócić na wolny rynek i poddać się regułom jego nieskrępowanej konkurencji.

Cóż znaczy w takim razie ta dwulicowa gra? Czy

## DWIE MIARY

sfery gospodarcze pragną okłamać ogół społeczeństwa, czy może okłamują same siebie?

Nie ulega wątpliwości, że kapitał chce wyjść z kryzysu za wszelką cenę, imając się wszelkich dróg i sposobów, choćby rozbieżnych, choćby wyłączających się nawzajem. Rozbieżność i sprzeczność, jaka zachodzi między jednym środkiem ratunku a drugim, spodziewa się on uchylić przez to, że próbuje stosować je naprzemian, pokolei.

I tak naprzemian, pokolei, w miarę potrzeb lub pod naciskiem okoliczności, wywija chorągiewką liberalizmu, to znów staje pod znakiem etatystycznej opieki i etatystycznego monopolu.

Liberalizm, *laissez-fairyzm*, dobrodziejstwa wolnej konkurencji zalecane bywają przedewszystkiem sąsiadowi, klientowi, spożywcom. Monopol jest środkiem, który każdy radby zatrzymać dla siebie, jako wyjątek.

Pozatem zaś, liberalizm, wolną grę sił ekonomicznych, wysuwa się i reklamuje zawsze, ilekroć chodzi o to, aby robotnikom i wogóle pracownikom najemnym wytłumaczyć, że ich zarobki muszą potoczyć się wdół za zniżkującą tendencją cen; że żadne ubezpieczenia od bezrobocia, żadne ustawy społeczne, ochraniające pracę, nie powinny „fałszować” swobodnej gry popytu i podaży sił na rynku pracy; że miliony bezrobotnych powinny gnić w nędzy przez szacunek dla zasad liberalnych.

## NA ŚLEPYM TORZE

Wszelako hasło „wolnej gry sił” oraz wysoki standard moralny” liberalizmu zwija się pośpiesznie, gdy tylko wchodzi w rachubę interesy przedsiębiorczego, wielkoziemiańskiego lub finansowego kapitału. Wtenczas protekcjonizm, monopolizm i etatyzm odzyskują, jakby za skinięciem różgi magicznej, swój honor, cnotę i niewinność. Wtenczas z zapalem mówi się o powstrzymaniu zniżki cen, o konieczności ich podniesienia w drodze interwencji państwowej, o zniesieniu lub ograniczeniu prawa popytu i podaży przez uchylenie konkurencji obcej lub wogóle niepożądaney. Wtenczas Państwo i jego protekcja jest opatrnością bożą.

A gdzież podziewa się wtedy „wysoki, mimo wszystko, standard moralny wzgardzonego liberalizmu”? Poprostu, zawiesza się go na kołku, jako rekwizyt teatralny, należący do innej sceny, do innej sytuacji. Deklamuje się, natomiast, o zaletach samostarczalności, o pożytku kartelów, o konieczności utrzymania warsztatów krajowych na należytych poziomie techniki i sprawności. I tak deklamować się będzie aż do najbliższej okazji, przy której wróci kwestja stosunku sfer gospodarczych do pracy najemnej. Wtenczas kierunek deklamacji się odwróci i znów posłyszemy wywody uczone na temat tego, jakie spustoszenia moralne szerzy etatyzm, jak „podatne podłoże dla łapownictwa i protekcjonizmu stwarza nadmiar reglamentacji i kontroli”.



## DWIE MIARY

Faktem jest, że okres teraźniejszy jest okresem nadmiaru towarów we wszelkich gałęziach produkcji: nadmiaru, rzecz prosta, nie w stosunku do potrzeb ludności, lecz do jej sił nabywczych. W zakresie wszelkich towarów, nie wyłączając tego, niestety, towaru, jakim jest żywa siła mózgów i mięśni ludzkich na rynku pracy, podaź góruje nad popytem, a ceny wskutek tego nie mogą podnieść się w górę, a nawet nie przestają spadać.

Ale sfery gospodarcze, rozporządzające środkami wytwórczości, mają dwie wagi i dwie miary: liberalizm dla pracy najemnej, etatyzm i protekcjonizm dla siebie. W myśl liberalizmu, zarobki pracy muszą być obniżane. W myśl etatyzmu, zysk kapitału musi być utrzymany. Oto dialektyka sporu, ujmowanego nie na powierzchni piany frazeologicznej, która go mąci, przesłania i zatruwa, ale u źródła ścierających się ze sobą interesów, które go rodzą i w obecnym systemie gospodarczym rodzić muszą.

## ŻARTY PATRYCJUSZÓW

Jeżeli można jeszcze śmiać się z czegoś w dzisiejszych czasach dokuczliwej nędzy, to szeroki ogół śmieje się i napewno śmiać się musi, gdy słyszy przechwałki i zapewnienia t. zw. sfer gospodarczych, że one jedne tylko mają prawo do zabierania głosu i do kierownictwa w sprawach gospodarczych.

Na Złotego Cielca! A któżby to ich prawo kwestjonował, gdyby go nie podkopały same? Któż to się przeciw nim buntuje jeśli nie sam porządek rzeczy, jeśli nie sama racja bytu społecznego?

W innych okresach, dających wrażenie pozornego przynajmniej ładu, nadzieję choćby pomyślniejszej przyszłości, człowiek, aby przeciwstawić się stosunkom panującym, potrzebował, być może, podnieć w teorii, w długich rozważaniach krytycznych, w systemach. Dziś anarchja gospodarcza jest tak powszechna, że protest przeciwko niej rodzi się samorzutnie z doświadczeń i spostrzeżeń codziennego życia. Protest ów nie jest utopją, buntującą się przeciw zasadom, urzeczywistnionym w praktyce, nie jest mitem, który chciałby obalić ustrój, ugruntowany na faktach. Dziś na kartę postawiony jest człowiek: czło-

wiek, którego los się rozstrzyga, i który czuje to i rozumie coraz głębiej. Cóż dziwnego, że jego naturalną postawą jest krytyka i rewolta? Dość mu jest rzucić okiem na świat, który go otacza, aby osądzić jego sprzeczności i potępić jego niedobory. Jakiż system rewolucyjny, jaki światoburczy sen, jaka najpotężniejsza mistyka przewrotu dorównałaby wymowie takiego choćby prostego faktu: ludzie cierpią głód, ale głodują nie dlatego, iżby brakło chleba, tylko dlatego, że jest go za dużo.

Każdy rozumie, gdyż przedewszystkiem doświadcza sam na sobie, wyjątkowy, naprawdę jedyny, charakter obecnego kryzysu. Każdy, choćby w drodze najogólniejszej obserwacji zjawisk społecznych, zdaje sobie sprawę, że w gospodarce teraźniejszej nastąpił jakiś rozstrój, że koła maszyny gospodarczej przestały zazębiać się o siebie, że zaczynają wirować w próżni.

Jedne środki zaradcze następują po drugich. Słowa pociechy urzędowej przeplatają się ze słowami prywatnych nadziei. Ale stan chaosu trwa, pogłębia się i zaostrza. Próżno biura statystyczne ograniczają się do notowania w swych posępnych i obłudnych tablicach dziesiątej zaledwie części ogólnej liczby bezrobotnych. Dziś nad każdym wisi groźba bezrobocia. Każdy żyje nad przepaścią nędzy. Nikt nie jest pewien swego miejsca w świecie.

Niema chyba potrzeby udowadniać, że liberalizm



kapitalistyczny ze swą wolną inicjatywą prywatną, ze swą zasadą współzawodnictwa i pogoni za zyskiem indywidualnym ma już zenit rozwoju daleko poza sobą; że wstąpił w okres uwiązania i rozprzężenia. Inicjatywa prywatna znalazła grób w monopolach i kartelach. Współzawodnictwo zasnęło na łonie sklerozy. Pogoń za zyskiem osobistym zamiast sprzyjać wzrostowi wytwórczości, prowadzi aż nazbyt często do jej ograniczenia. Pocóż zresztą starać się o udowodnienie tego, co każdy sam czuje na swej skórze? Kto dziś ma pracę i zarobek, ten nie jest pewny, że je zachowa jutro.

Naturalna gra ryzyka, towarzysząca człowiekowi od kolebki do grobu na wszystkich zakrętach życia, obrosła teraz siecią hazardów i niebezpieczeństw dodatkowych a nieuniknionych, wynikającą z zachwiania równowagi u samych podstaw gospodarki społecznej. W tem zaś wszystkim rzeczą najgroźniejszą jest to, że owa niepewność, owa groźba jutra, skupia się nie na oddzielnych osobnikach i nie na odrębnych warstwach, ale ściga i bierze w jassyr każdego człowieka, każdą jednostkę, która żyje i żyć chce.

Pierwszy na poboju anarchji gospodarczej załamał się proletarjat przemysłowy. Miażdżony niehumanitarnymi warunkami bytu, opanowany przez związki, których przywódcy częstokroć nie mieli innych celów poza wyzyskiwaniem uroszczeń zawodowych dla swych ambicji politycznych, proletarjat ów, któ-

rego kapitalizm nie związał z żadnym dobrodziejstwem wiedzy, umiejętności lub kompetencji, dostarcza coraz nowych bataljonów pułkom bezrobocia, tworząc niezliczoną armję robotników, którzy nie mają roboty, lub pracują po dwa dni w tygodniu.

Jeśli klasa robotnicza płaci tak ciężkie koszta obecnego chaosu gospodarczego, to nie znaczy wcale, aby była jego ofiarą jedyną. Ugina się pod temi kosztami całe społeczeństwo. Ponosi je bezrobotny inżynier, który — dla braku zajęcia w swoim własnym zawodzie — przyjmuje funkcję majstra fabrycznego. Ponosi je majster, zmuszony, aby żyć, pełnić czynności wyrobnika. Ponosi je urzędnik, wyrzucony z posady. Ponosi je wreszcie cała młodzież, wychodząca ze szkół średnich i wyższych; młodzież, która zaraz na progu życia uderza o ślepy mur wyroku, orzekającego, że jej siły i zdolności nie są nikomu potrzebne. A czyż trzeba wspominać o pochyłości bankructwa, na której znalazł się kupiec, drobny przemysłowiec i rolnik? Kupiec, którego wpływy nie dorównują wydatkom; drobny przemysłowiec, bezsilnie patrzący na niesprzedany towar; chłop, oplakujący klęskę urodzaju, ponieważ urodzaj jeszcze bardziej obniży dotychczasowe ceny na zboże... Cała warstwa pracy najemnej i cały zespół warstw średnich, a więc olbrzymia większość ludności kraju czuje się jakby przykuta do kuli ołowianej, która ją ściąga nieuchronnie wdół.

## NA ŚLEPYM TORZE

Powoli, ale nieodparcie, mocą procesu, który zresztą zwiększa swą szybkość z dnia na dzień, miliony ludzi ubożeją i ulegają proletaryzacji. Każde zamknięcie fabryki lub kopalni, każde bankructwo, każdy nowy monopol, ba! każda nowa zdobycz techniczna, tająca w sobie nowe źródło bogactwa, wyrzuca na bruk kilka, kilkadziesiąt lub kilkaset rodzin. Ci zaś, którzy jeszcze „mają co jeść”, czują tak dalece kruchość swego „przywileju”, że lękają się z każdym dniem jego utraty.

Takie są fakty. Takie są warunki, w których znalazło się życie gospodarcze kraju. I oto w takich warunkach ci, którzy tego życia byli przewodnikami, a więc sfery przemysłowe i wielkoziemiańskie, upierając się nadal przy monopolu kierownictwa, usiłują i mają odwagę wmawiać w ogół, że tylko one są zbiornikiem wiedzy i kompetencji ekonomicznej, tylko one powołane są do tego, aby dyktować Państwu zasady polityki społecznej i gospodarczej.

Czy nie nadmiar pewności siebie i fanfaronady? czy nie zanik owych cnót „dojrzałości i odpowiedzialności”, które prasa sfer gospodarczych, tak chętnie reklamuje, a tak skąpy czyni z nich użytek?

To, że się w obliczu pewnych spraw nie zdało egzaminu, nie jest chyba najlepszą legitymacją, aby w sprawach tych uchodzić za rzeczoznawcę i arbitra.

Jeśli sferom gospodarczo-obszarniczym przysługiwało uprzywilejowane stanowisko w Państwie,



## ŻARTY PATRYCJUSZÓW

w szczególności zaś prawo do kierownictwa w życiu ekonomicznem, to wiemy, na czym to prawo się opierało. Miało ono swe uzasadnienie w tem, że sfery owe 1) płaciły Państwu podatki i 2) zapewniały rzęszom pracowniczym zatrudnienie przy warsztatach produkcji.

Dziś obie te zasady uprawnienia odpadły. Główny ciężar utrzymania Państwa oddawna spada już na warstwy pracy najemnej, które, ponadto, wzywane są do wzmożonych na rzecz Skarbu ofiar zawsze, ilekroć budżet Państwa znajdzie się w trudnościach. W jakiej zaś mierze sfery gospodarcze wywiązują się ze swej powinności co do zatrudniania sił pracownicznych kraju, o tem świadczy chyba dostatecznie wzrastające „martwe morze” bezrobocia.

Wprawdzie rzecznicy warstw uprzywilejowanych z naiwnością godną pensjonarki, tłumaczą, że jeśli obszarnicy nie płacą podatków i nie spłacają długów, zaciągniętych w bankach państwowych, to jedynie dlatego, że „czynniki rządowe” pozwalały im na to. Biedne ofiary lojalności państwowej!... Rząd pozwolił im nie płacić długów, więc... jakżeby mieli je spłacać? Czy po to, aby się rządowi narazić? Jeszcze dobrze, że „czynniki rządowe” wprost nie zabroniły im płacić podatków! Oto — żarty naszych... patrycjuszów, którzy nie dodają, czy rząd kazał im również zalegać z płacami dla robotników? Przedstawiciele rzekomej „dojrzałości i odpowie-

działności" podjęli się udowadniania tezy, którą Polska przyjąć mogłaby tylko jako świadectwo ich małoletności. Bo tylko dziecko które coś zbroi lub czegoś nie dopełni, usprawiedliwiać się może tem, że starsi „pozwolili” lub „nie zapobiegli”.

Ci, którzy chcą innych uczyć dojrzałości; którzy sięgają po rolę przewodnią w życiu, a nawet po monopol kierownictwa i kompetencji w sprawach gospodarczych, musieliby, aby szukać posłuchu, nasamprzód wyjść z pokoju dziecinnego i przestać chować się za plecyma guwernantki.

## OŚRODEK PARALIŻU

W organach prasy i w głosach opinii coraz częściej spotykamy apele do zwieźlej, lecz nieodpartej wymowy liczb statystycznych, wyrażających te lub inne pozycje naszego życia gospodarczego.

Tendencja zdrowa i słuszną a jakże godną uwagi. Wzrasta, najwidoczniej, grono osób, gardzących zawijasami i błyskotkami stylu, mającemi przesłaniać straszliwe pobojuwisko kryzysu, a spragnionych prawdy, choćby okrutnej, lecz nagiej i szczerze wypowiedzianej.

Taką, między innemi, prawdą, dobytą z tablic statystyki, jest smutny rekord najwyższej śmiertelności, jakim Polska obecna bije wszystkie narody zachodniej i środkowej Europy.

Gdy Anglja, Niemcy, Szwajcarja, państwa skandynawskie a nawet niektóre z państw bałkańskich zmniejszają z roku na rok swą stopę śmiertelności, my cofamy się ku wzmożonym haraczom śmierci, zbliżając się do poziomu, jaki wykazywały te kraje w początkach XIX wieku. Najdobitniej świadczy o tem niemiłosierny wzrost liczby zgonów niemowląt. Gdy jeszcze 2 lata temu przypadało w Polsce na



## NA ŚLEPYM TORZE

100 urodzeń 12,8 zgonów niemowląt, w 1-ym kwartale r. ub. liczba ta wzrosła do 15,1 (w województwach wschodnich aż do 17,2). Są to hekatomby od wieku zapomniane na Zachodzie Europy. Czyż trzeba dodawać, że pochodzą one stamtąd, gdzie najczarniejsza nędza najobfitsze hoduje potomstwo: wśród chłopów bez roli, wśród robotników bez pracy, wśród barłogu wilgotnych i spleśniałych izb służby folwarcznej?

Każde szóste dziecko, które przychodzi na świat w tym kręgu niedoli rodzi się nie dla kolebki życia, lecz dla trumny i darni cmentarza: ten wynik ruiny gospodarczej staje się sam jakże zastraszającym czynnikiem dewastacji już nietylko gospodarczej, ale i biologicznej.

Ludność Polski, żarta nędzą, ugina się pod ciężarem poborów śmierci, które wlecze za sobą. Kryzys, co do którego dajnoży nie porozumieli się ze sobą jeszcze ekonomiści wielkiego ziemiaństwa z ekonomistami wielkiego przemysłu i finansjery, nie czeka na wynik uczonego sporu i podkopuje to, co jest podstawą wszelkiego bogactwa: niszczy żywą siłę ludzką, wypija krew ludu polskiego, a więc zżera na pniu rdzenną substancję narodu.

Sytuacja, która już od lat szeregu była paradoksalna, zaczyna być tragiczna. Kryzys, który uczeni w piśmie podawali za przejściowy, za zwykły refleks wahadła konjunktury, kładzie rękę kościotrupa na co-

## OSRODEK PARALIZU

raz szerszych łańcach życia. Ci, którzy giną pod jej dotknięciem, są stratą już nie przejściową, ale ostateczną, jak ostateczne jest to milczenie, które zalega na mogiłach dzieci po wiejskich cmentarzach.

Produkcja zamyka się, jak tajemna i zazdrosna magja, w coraz ciaśniejszych, w coraz niedostępniejszych szrankach; miliony ludzi, próżno szukających zarobku, pozbawione są najniezbędniejszych środków do życia. A pozbawione są dlatego, że owe właśnie bogactwa, których jest poddostatkiem, nie znajdują nabywców. Pod okiem rzesz zgłodniałych, które bogactwa te wytworzyły, rzuca się zboże i owoce do morza, kawę i bawełnę do ognia: czyż nie tak wygląda wzór gospodarczy dzisiejszego kapitalizmu?

Istnieją zastępy bezrobotnych i istnieją fabryki częściowo lub całkowicie unieruchomione. Miliony ludzi bez zarobku i mnóstwo przedsiębiorstw bez dochodu. Istniejące fabryki są aż nadto rozległe, aby przyjąć i zatrudnić bezrobotnych; ci zaś marzą jedynie o tem, aby stanąć przy warsztatach. Ale nieprzekraczalny mur wznosi się między wytwórcami a środkami i narzędziami wytwórczości.

Ciąży nad światem obfitość złota. Drogocenny kruszec łąknie lokaty; pragnąłby wcielić się w środki wytwórczości oraz w płace robotnicze; chciałby zapłodnić produkcję. I gdyby zdołał to uczynić, fabryki ruszyłyby natychmiast, bezrobotni odnaleźliby pracę, a wzrost dochodów i zarobków podniósłby zdolność

spożywczą wszystkich warstw społecznych. Ale sen złota okazuje się równie nieziszczalny, jak sen bezrobotnych nędzarzy. I przed niem wyrasta mur nie do przebycia; i ono nie może znaleźć zatrudnienia.

Trzy zapory tamują ruch w naszym obecnym świecie gospodarczym: pierwsza wznosi się między pracownikami a środkami do życia, obfitemi jak nigdy przedtem; druga stoi między bezrobotnymi a fabrykami, które zawiesiły działalność; trzecia — między „próżnujaczem“ złotem a wytwórczością, która bez ruchu nie może ruszyć z miejsca.

Ażeby gospodarkę kapitalistyczną wyprowadzić z zastoju, trzeba obalić owe trzy zapory. Lecz, aby je obalić, trzeba zapoznać się z przyczyną, która je wzniosła. Odsłonić źródło paraliżu, który wstrzymał ruch kół i dźwigni w ekonomji dotychczasowej.

Ten ośrodek paraliżu nie leży — jak gotowi byliby mniemać niektórzy — ani w osobistych namiętnościach, ani w indywidualnych lub zbiorowych kapryśkach sfer kapitalistycznych. Tkwi on — stwierdzamy to z naciskiem — w prawach obiektywnych, które rządzą ekonomją kapitalistyczną i spod których ani przedsiębiorcy ani pracownicy najemni uchylić się nie mogą. U podstawy wszystkich wymienionych wyżej paradoksów naszego życia gospodarczego tkwi zasadnicze prawo kapitalizmu, którem jest prawo zysku.

To prawo zysku, które dawniej, na niższym poziomie techniki przemysłowej, przewodziło siłom,



## OŚRODEK PARALIŻU

będącym czynnikami rozwoju i postępu w świecie gospodarczym, dziś, przeciwnie, aż nazbyt często staje się hamulcem, który ów rozwój tamuje. Gdy dawniej premjowało przedsiębiorczość i ekspansję w wytwórczości, dziś premjować może jej ograniczenie i spekulację. Gdy bowiem dawniej świat gospodarczy żył pod znakiem chronicznego ubóstwa i niedostatku, pod biczem potrzeb, ustawicznie przerastających możliwość ich zaspokojenia, prawo zysku było z natury rzeczy zasadą, kojarzącą interes przedsiębiorcy ze wzmagającym się tętnem produkcji. Ale odkąd typem niedoli gospodarczej przestały być klęski niedostatku, a stały się „klęski urodzaju”, klęski nadmiaru dóbr, nie znajdujących nabywcy, przedsiębiorca, zapatrzony w prawo zysku, spostrzegł, że interesom jego kieszeni ograniczenie lub zawieszenie produkcji służyć może lepiej od jej rozwoju.

Napozór, nic — zdawałoby się — nie stoi na przeszkodzie temu, ażeby, zamiast niszczyć wyprodukowane a niesprzedane środki żywności, rozdać je tym, którzy ich potrzebują a nabyć nie mogą. Byłoby to rzeczą ludzką, naturalną, logiczną, ponadto w ten sposób pozbyłoby się zapasów, które uniemożliwiają wznowienie produkcji. Jednakowoż, gdy w rzecz tę spojrzymy zbliska, bez trudu odnajdziemy barierę, o którą rozwiązanie takie się rozbija: zysk przedsiębiorcy.

Niwecząc część zapasów, przedsiębiorca „przywra-

ca wartość" ich reszcie, sprowadza podaż do rozmiarów uszczuplonego popytu, i w ten sposób owa reszta może być sprzedana z „należyta" korzyścią. Rozdawszy, natomiast, nadmiar zapasów bez zysku, wyjaławia on popyt na pewien okres czasu, i na jego falę powrotną musiałby nieco poczekać. Wyrzec się zysku, byłoby to, rzeczą ludzką i szlachetną, ale czyż możliwą dla kapitalistów? Współzawodnictwo każe im „akumulować" i udoskonalać swe przedsiębiorstwa, w przeciwnym razie ulegliby oni w walce z konkurentami lepiej wyposażonymi.

Tu raz jeszcze możemy podkreślić to, cośmy zaznaczyli już wyżej: kapitaliści są ludźmi, którym spewnością nie zbywa na ludzkości, ale ustrój kapitalistyczny narzuca im prawa, które nie odpowiadają interesom człowieka, interesom narodu i państwa.

Nic również — zdawałoby się nie sprzeciwia się temu, ażeby masa bezrobotnych objęła opustoszałe fabryki. Możliwość wtenczas bądź zredukować godziny pracy, bądź pracować w dotychczasowym rytmie, aby więcej jeszcze bogactw przysporzyć społeczeństwu któremu brak jest nie zdolności chłonnych lecz siły nabywczej. Wszak nie brak spożywców, ale brak klientów, zasobnej w gotówkę, powoduje zamykanie fabryk.

Siła nabywcza może pochodzić tylko od tych, którzy ją posiadają, a więc od kapitalistów. Ażeby siłę tę wzmóc w szerokich rzeszach społeczeństwa, trzeba podnieść zarobki pracy najemnej. Ale znaczy-

## OSRODEK PARALIŻU

łoby to tyleż, co obniżyć zysk przedsiębiorcy. Taki sam wynik miałyby też i skrócenie dnia roboczego, oczywiście, przy utrzymaniu płacy robotniczej na tym samym poziomie.

Nakoniec, jeśli złoto próżnuje i wałęsa się po świecie bezpłodnie, jeśli nigdzie nie znajduje lokaty pewnej i korzystnej, to dzieje się to wskutek tego, że przy dzisiejszych warunkach podziału bogactw, zbyt wiele fabryk musiało zamknąć swe warsztaty z braku nabywców. Złoto nie kwapi się do miejsc, nie rokujących ani bezpieczeństwa, ani renty, a i sam przemysł stracił ochotę do nakładów na nowe fabryki, skoro już i te, co istnieją, nie są w pełni spożytkowane. Kredytu udziela się jedynie tym zakładom, które pracują z zyskiem. I tutaj ta sama wyrasta zaporą: zysk kapitalisty.

Kryzys obecny siódmy już rok paraliżujący siły gospodarcze świata, nie świadczy o złej woli lub nieudolności ludzkiej ale pod groźnym znakiem zapytania stawia ustrój gospodarczy, w którym żyjemy i który swe bariery zastoju ustawił na wszystkich drogach, wiodących w przyszłość. Że Polska w ustroju tym ponosi na rzecz kryzysu ofiary większe od innych krajów, nie trzeba chyba dowodzić: wynika to już stąd, że jesteśmy społeczeństwem ubogiem, że jesteśmy narodem na dorobku. Gdy inne narody Europy uczestniczyły w rozkwicie kapitalizmu, inkasując jego potężne zyski i dobrodziejstwa, my, jako



## NA ŚLEPYM TORZE

Państwo, wróciliśmy do życia w dobie jego chaosu i zwyrodnienia. Gdy inni dziedziczą po nim emeryturę, my dziedziczymy sklerozę. Gdy inni, bogaci, wykupują się z kryzysu metodą odtłuszczenia, Polska — jak głosi jej okrutna statystyka — płaci mogiłami swych dzieci, ofiarą swej krwi, tragedją młodzieży swej, spychanej w szeregi parjasów.

A przecież w żadnym chyba kraju Europy młodość i młodzież nie jest powołana do ról tak wielkich, jak w Polsce. Bo żaden w Europie kraj nie potrzebuje większej, niż Polska, i powszechniejszej mobilizacji młodych ramion do pracy, aby dźwignąć się z niedawnych spustoszeń wojny i starych ugorów niewoli. Nie tym systemem, który każe zamykać warsztaty i wyrzucać pracowników na bruk, ale tym jedynie, który je każe otwierać i budować, dźwignąć się może kraj taki, jak nasz, kraj ubogi, lecz prężny, głodny lecz robotny.

I dlatego udział w jego kierownictwie przesuwając się musi coraz wyraźniej z rąk tych, którzy ciągną i reprezentują zyski, w ręce tych, którzy pracują i przedstawiają interesy pracy. Dzisiejszy bowiem zwyrodniały kapitalizm chciałby zyski swe zakładać na ograniczeniu wytwórczości, na zamrażaniu energii i hodowli bezrobocia, gdy tymczasem przyszłość Polski związana jest, jak powiedział nie kto inny, tylko Józef Piłsudski, z wyścigiem pracy: z pochodem nie rentjerów lecz zdobywców.

## POWRÓT DO BARBARZYŃSTWA

Wedle poważnych obliczeń naukowych, z którymi zgadza się także ddiagnoza rządu, około 10 milionów ludzi żyje na wsi polskiej bezużytecznie. Żyje, jak wyraził się jeden z ministrów, „poza nawiasem jakiegokolwiek aktywizmu gospodarczego”. Dziesięć milionów ludzi wiejskich woła daremnie o środki do życia. Nie jest to, oczywiście, już tylko niedola wsi samej. Jestto podstawowe zagadnienie naszej polityki gospodarczej. Dźwignia do ruszenia z posad martwej bryły naszych bogactw. Wobec tej bryły martwej kłamstwem się stają wszelkie nasze „prometeizmy”, nasze podniebne wzloty i ambicje. Wciśnięci od wschodu i zachodu między dwa kolosy narodowe, prące ku Polsce stumiljonowemi masami w imię fanatycznych idei, pozwoliliśmy na to, aby trzecia część energji naszego Państwa uległa zamrożeniu w nędzy, graniczącej z paraliżem. Bujny przyrost naturalny, który w innych warunkach mógłby stać się przyrostem potęgi, dziś jest tylko naturalnem nawarstwianiem się głodu i rozpacz. Cóż znaczyć mogą nasze akademje, nasze fundusze kultury, nasze ambasady, nasze mitry kardynalskie, skoro oświecimy

## NA ŚLEPYM TORZE

je skazańczym płomykiem zapalaki, rozłupanej na czworo rękami wiejskiego nędzarza? Ilekolwiek zużylibyśmy zapalę, ażeby wspiać się na wysokość, odpowiadającą 6-mu miejscu, jakie w Europie zapewnia nam nasza liczebność i nasza dynamika polityczna, zawsze ściągać nas będzie ku dołowi owa bryła ołowiu, która jest bryłą 10-miljonowej ubożyzny, odrzuconej poza nawias produkcji i wymiany. Jakież widoki rozwoju, jakież widoki bodaj ostania się w nowoczesnym wyścigu cywilizacji, mieć może osobnik, wydatkujący dziennie 11 groszy na odprawę wszystkich swoich potrzeb? Niedźwiedź, ssący łapę w długim śnie zimowym, ma akurat budżet dzienny mniejszy już tylko o te 11 groszy.

Rozumiemy teraz, dlaczego minister skarbu, przedstawivszy obraz obumierania gospodarczego wsi chłopskiej, zamknął go wyrazem przeświadczenia o „konieczności podjęcia prac dla dokonania głębokiej reformy w ustroju naszego gospodarstwa społecznego”.

Nie może być chyba żadnej wątpliwości, że owa głęboka reforma w ustroju gospodarczym Polski, jeśli ma być skuteczna, zacząć się musi od reformy ustroju rolnego. Ustrój bowiem rolny jest w Polsce tą dziedziną gospodarki, która wlecze za sobą najcięższe okowy przeżytków, sięgających pozaprzeszłego stulecia. On to sprawia, że obok wielkiej własności obszarniczej, skupionej w rękach garści magnatów, istnieją karłowate gospodarstwa chłopskie oraz



## POWRÓT DO BARBARZYŃSTWA

wegetujące w nędzy rzesze bezrolnych chłopów. Na 3,3 milionów gospodarstw rolnych w Polsce mamy przeszło milion osad poniżej 2 ha, których właściciele pospołu z rodzinami są dożywotnimi osiedleńcami nędzy. Część tych chłopów małorolnych, jak również część bezrolnych, powinna być jak najrychlej uwłaszczona na roli, powstałej z przejęcia za długi lub z parcelacji obszarów dworskich. Dać warsztat pracy indywidualny lub spółdzielczy chłopom bezrobotnym, to obowiązek i nakaz nie tylko sprawiedliwości społecznej, ale także polskiej racji stanu, która wymaga jak najściślejszego zespolenia interesów Państwa z jak najszerszą rzeszą pracowniczą.

Widoki i możliwości, jakie stoją w Polsce przed reformą rolną, są rozległe. Wedle danych urzędowych gospodarstwa drobnej poniżej 50 hektarów obejmują 57 proc. użytków rolnych. Przeciwstawia się im większa własność skupiająca jeszcze około 26 proc. gruntów użytkowych w kraju. Wszystko to, co dała dotychczasowa reforma rolna, jest niewspółmiernie małe w stosunku do potrzeb wsi. A przytem wyniki jej w ostatnich czasach maleją z roku na rok. Gdy w roku 1929 rozparcelowano powyżej 164 tys. ha, w roku 1934 liczba ta spadła do trzeciej części. Jakież siły, wrogie Państwu i odporne wobec aktywizacji gospodarczej naszego społeczeństwa, przeciwstawiają się dotąd pochodowi tej zbawiennej reformy? Jakiebykolwiek były ich wpływy, nic nie prze-

może wyroku, który wydała w tej sprawie historia Polski. A wyrok ów orzeka, że ziemia musi przejść bądź w jednostkowe bądź spółdzielcze władanie tych, którzy na niej fizycznie pracują. Żywiciela narodu muszą stać się gospodarzami na swej roli.

Wadliwa struktura rolna wsi polskiej jest jednym z głównych czynników niedoli gospodarczej chłopów, ale — rzecz prosta, nie jest jej źródłem jedynym. Obok niej w organizacji owej „pańszczyzny”, która powrotnym uciskiem siadła na karku chłopów, współdziałają czynniki, tkwiące w podstawowych zrębach dzisiejszego ogólnego systemu gospodarczego, a zwłaszcza w dwu jego naczelnych tendencjach: w nastawieniu skartelizowanej produkcji przemysłowej oraz w nastawieniu polityki gospodarczej i podatkowej. Chłop bity już raz jako parobek lub ofiara wielkiej własności ziemskiej, ponownie bity bywa jeszcze raz drugi i trzeci, jako spożywca i jako podatkodawca.

Że cała dotychczasowa polityka gospodarcza jest wygodna dla zorganizowanego kapitału oraz tych, którzy dzięki niemu prosperują, i że polityka ta uprawiana jest pod jego wpływem, a wrzyna się całym swym ciężarem w krew i ciało chłopstwa: — o tem nie trzeba nikogo chyba przekonywać. Wystarczy wsłuchać się w nerwowe a krzykliwe odruchy, jakimi wybuchają rzecznicy t. zw. sfer gospodarczych i konserwatywnych ilekroć zrodzi się w rządzie zamiar po-

## POWRÓT DO BARBARZYŃSTWA

czynienia w dotychczasowej polityce jakichkolwiek zmian na korzyść wyzyskiwanej wsi chłopskiej. Warto natomiast podkreślić z całym naciskiem, że w teraźniejszej dobie ekonomicznej trudno już mówić o wolnej konkurencji i o wolnej inicjatywie w przemyśle. Szereg kluczowych gałęzi przemysłu obejmuje kartele które działają pod hasłem najwyższych zysków choćby za cenę najszczuplejszej produkcji i najkosztowniejszej obsługi konsumenta. W Polsce mamy, jak wiadomo, około 300 jawnych karteli, nie licząc tych, które nie zostały zarejestrowane. Stanowią one pospołu skoncentrowaną potęgę, która jest prawdziwą dyktaturą gospodarczą w Państwie i, mimo prób walki, którą wypowiadał im już niejednemu rząd, narzucają swe jarzmo wszystkim gałęziom produkcji wolnej, a przede wszystkim — rolnictwu. One to, jak mszyce, wysysały soki z gospodarki chłopskiej. Jeśli chłop nasz wyrzec się musiał białej soli i cukru, jeśli od lampy naftowej cofnął się do łuczywa, od pługa do sochy staroświeckiej, od gwoździ żelaznych do ćwieków, ciosanych z drewna, to te stacje wyrzeczeń — zaiste: stacje męczeńskie polskiego ludu — są tylko figurami, w których wyraża się zysk i władza karteli.

Jarzmo karteli wżarło się oczywiście nietylko w karki chłopskie, legło ono ciężarem także na budżetach miejskiego świata pracy.

Obarczając budżety te haraczem wygórowanych i li-



## NA SŁEPIYM TORZE

chwiarskich cen na wyroby państwowe nieuniknionej konieczności, kartele wytrącają z rąk inteligenta i robotnika wszystko to, co mogłoby wydzwignąć ich nad poziom wegetacji, co służy potrzebie ducha i umysłu. Z rachunku wydatków codziennych każą im skreślać kosztą kultury i uczestnictwa w życiu zbiorowości; kosztą teatru, książki, odczytu, radja i telefonu. A przede wszystkim utracają w budżecie pracownika to, co jest dla kapitału monopolistycznego najgroźniejsze: kosztą myśli, pracującej nad wytworzeniem samowiedzy i świadomości swego losu w ludziach, wspólną połączonych krzywdą. Ale zubożając miejski świat pracy i skazując go na głodową wegetację czyż system kartelowy, redukując popyt miast na produkty rolne, nie uderza raz jeszcze w gospodarke chłopską?

Zamiast poczucia naturalnej spójni w ramach wspólnej walki o lepsze jutro, zwyrodniały sklerotyczny kapitalizm narzucać chce ludziom majaki doktryn, głoszących solidarność fikcyjną i fałszywą: w pewnych krajach, wysuwa solidarność krwi i mitologję rasy, w innych wspólność wyznania lub kasty, tu ubiera swe ofiary w czarne koszule; tam — w błękitne nadzieje zagrobowe; tu — z religji robi fetysza, tam — z fetysza robi religję. Gotów uznać i proklamować najdzikszy typ solidarności, byle tylko nie solidarność głów i ramion, zjednoczonych w dążeniu do wyłamania się spod tyranji pieniądza.

## POWRÓT DO BARBARZYŃSTWA

Zesumujmy wpływ, wywierany przez kartele, na całej linii naszego frontu społecznego. Spróbujmy zestawić i porównać ze sobą skutki ich działania na terenie wsi chłopskiej z wynikami, jakie rodzi ich działalność w miastach, w zastępach anemicznej i ogłódzonej inteligencji. Tam, na zagonie wiejskim, chłop od pługą żelaznego wraca do drewnianej sochy, od światła lampy do łuczywa, od szkoły 7-oddziałowej do analfabetyzmu; tu, na bruku miejskim, myśl gromady cofa się od humanizmu do wzorów średniowiecza, od demokracji do feudalizmu, od wolności i równości obywatelskiej do niewolnictwa i teroru. Na tych obu terenach — czy to nie ten sam ruch? I czy nie ten sam kierunek? Uwstecznienie gospodarki czyż nie pociąga za sobą uwstecznienia kultury? Socha drewniana w ręku wieśniaka czyż nie jest tem samem znamieniem anachronizmu i barbarzyństwa, co pałka faszystowska w ręku antysemitę? I barbaryzacja w jaką kartele pchają naszą gospodarkę rolną, czyż nie jest tylko drugą, równoległą stroną tego samego procesu, który barbaryzuje i pustoszy polskie życie kulturalne, społeczne i polityczne?

Kto na pytania powyższe da sam sobie odpowiedź rzetelną, ten zrozumie, że zagadnienie walki z kartelami jest sprawą, której rozwiązanie jest nietylko warunkiem równowagi budżetowej, ale progiem wszelkich decyzji, zmierzających ku temu, aby nasze życie gospodarcze i kulturalne pchnąć z mar-

## NA SŁEPIYM TORZE

twego punktu. Kartele z ich sztywnymi cenami to — mur chiński, który oddziela rolnictwo od przemysłu; wytwórcę od spożywcy. To jest także ów chiński mur zastoju, który Polskę oddziela od jej własnych zasobów i źródeł żywotności: od zadań i wymagań kultury i techniki nowoczesnej, od postępu i oświaty.

Wiemy, że walka z siłami wysysającymi i obezwładniającymi Polskę nie jest rzeczą łatwą. Łatwiejsze jest rzucanie na stos ofiarny krwawicy ludzi ubogich. Od sześciu lat nie było premjera i ministra skarbu, którzy podcinając coraz skromniejsze zarobki pracowników najemnych nie zapowiadaliby ostrej rozprawy z tą potężną a niewzruszoną organizacją wyzysku społecznego, jaką są kartele. Od wielu lat nie było rządu, któryby na czele swego programu nie wypisywał aktywizacji wsi chłopskiej. Mimo to siódmy rok kryzysu rozpoczęliśmy znów pod znakiem supremacji kartelów i upośledzenia ludu wiejskiego.

A przecież każda droga, wiodąca w przyszłość Polski, prowadzi przez wieś chłopską. Ta wieś jest dzisiaj uboga, ciemna i głodna. Jej głód, jej ubóstwo i ciemnota ryją się piętnem wstydu na czołe najdumniejszych i najbardziej zasłużonych w narodzie. Jej nędza i zacofanie jest najbardziej upokarzającą prawdą naszych dni. Niemniej wszakże jest to prawda jedyna, o której rzecz można, że jej nie ominiemy i że jej nie przeskoczymy, jeśli chcemy budować — od fundamentów.



## W JARZMIE KARTELI

Zaledwie rząd, po długich i mozolnych wysiłkach, wymógł na wielkim kapitale przemysłowym pewną obniżkę cen na niektóre wyroby kartelowe, a już panowie przemysłowcy ruszyli ochoczo do ataku na płace robotnicze, aby swe, zresztą drobne, ustępstwa odbić na zdrowiu i życiu klasy pracującej. Zmusza ich do tego — jak mówią — wzgląd na niemożność zejścia w cenach sprzedaży poniżej kosztów własnych. Przy rześkiej zachęcie organów, grających pod budkę pod dyрекcją „Lewjatana“, przedsiębiorcy wszędzie, gdziekolwiek się da, redukują płace robotnicze w drodze bezpośredniego nacisku; tam zaś, gdzie spotykają opór w związkach zawodowych lub w inspektoracie pracy, uciekają się do wypróbowanych metod akcji maskowanej: nie redukują zarobków, lecz wymawiają pracę, w przezornem wyrachowaniu, że wyrzuceni na bruk robotnicy — ci sami, albo inni — wrócą za tydzień lub dwa, złamani głodem, i zgodzą się na każde warunki, jak marnotrawni synowie.

Tej chwalebnej praktyce towarzyszy niemniej chwalebna ideologia, w klasyczny niemal sposób

## NA ŚLEPYM TORZE

przeciwstawiająca nietykalność zysku przedsiębiorcy wzgardliwej i kruchej łasce, na którą zdany bywa zarobek pracy najemnej. Rząd — rozumując przemysłowcy — chcąc zrównoważyć budżet do nowych, dodatkowych ofiar pociągał świat pracy: i to było w porządku! Ale chcąc skolei, choćby w części, odciążyć szarego człowieka, sięgnął po pewne wybujałe zyski kapitału: i to już, w oczach kapitalistów, nie było w porządku! Ażeby porządek naruszony przywrócić, ujrzeli przed sobą jedną tylko drogę: starą, wydeptaną drogę lichwy i wyzysku. Postanowili tę znikomą nawet cząstkę, w jakiej powołano ich do udziału w kosztach zbiorowości, przerzucić na barki świata pracy.

Cóż, że robotnik polski jest najgorzej płatnym wyrobnikiem świata? Cóż, że połowa wszystkich zatrudnionych w Polsce robotników zepchnięta została już oddawna poniżej stu złotych miesięcznego zarobku? Nędza ludzka nie ma widzialnego dna, więc nędzarczy spychać można coraz niżej. Ale spychając człowieka pracy poniżej poziomu człowieczeństwa kapitał w Polsce przeoczył jedno. Przeoczył, że, przerzucając poza siebie swój udział w dodatkowych kosztach zrównoważenia budżetu państwowego, zamyka to błędne koło, które rząd rozpaczliwym wysiłkiem próbował przełamać, odwołując się do ofiarności obywateli. Ciężar deficytu, podźwignięty przez ubożego spożywcę w nadziei, że będzie rozłożony

## W JARZMIE KARTELI

między nim a potężnym zespołem kartelów, znów spada spowrotem na jego barki bryłą niepodzielną, ponieważ świat spożywców w szerokiej mierze pokrywa się właśnie ze światem pracy. Kapitał przemysłowy, uszczuplając zarobki pracy najemnej, niszczy więc własną klientelę. Obniżając zaś coraz bardziej stopę życia w całym (z małemi wyjątkami) społeczeństwie, zasypuje źródła podatkowe, z których państwo czerpie środki na swą oświatę i obronę, na swe bezpieczeństwo i higienę, na swe najżywotniejsze funkcje i najpilniejsze zadania.

Rząd, pragnąc puścić w ruch zamierające koło obiegu gospodarczego, przeprowadził obniżkę cen. Miał, jak mu się zdawało, prawo oczekiwać, że udostępnione ceny rozszerzą rynek zbytu, a wzmożony zbyt oddziała skolei na przyspieszenie tętna produkcji, co znów dodatnio wpłynie na stan zatrudnienia. Ale oto zbawczy impuls, uderzywszy o mur kartelów, odbija się odeń i wraca do swego punktu wyjścia. Zamiera w tym samym punkcie, z którego się począł: w głodnym żołądku pracownika, w pustej kieszeni spożywcy, w baraku bezrobotnych. Zysk kapitału pozostanie nieuszczuplony. Zacieśni się tylko obroża nędzy na szyi człowieka pracy.

Stwierdzając ten beznadziejny stan rzeczy, dalecy jesteśmy od chęci polemizowania z przedstawicielami przemysłu. Polemika ta nie daje rezultatu już choćby dlatego, że gdy my czerpiemy swe tezy i argumenty



## NA ŚLEPYM TORZE

z własnego przekonania, przeciwnicy nasi są, w znacznej mierze, reprezentantami obcego kapitału, mającego swe ośrodki dyspozycji poza granicami Polski. Gdy dla nas robotnik i chłop polski jest krwią z krwi i kością z kości naszych, dla nich bywa on najczęściej tylko objektem i pozycją w rachunku (nie chcemy powiedzieć: rabunku!). Jeśli chodzi o kartele przemysłowe, to dla kogóż jest tajemnicą, że stanowią one najdogodniejszą formę ucieczki dla zysków, wyciąganych z pracy polskiego ludu? A jeśli chodzi o ich uczestników, to komuż niewiadomo, że znaczna ich część rekrutuje się spośród cudzoziemców?

Dalecy jesteście, powtarzam, od polemiki. Co więcej, gotowi jesteście uwierzyć, że kartele nie mogą ani jednego grosza opuścić na cenie swych produktów bez jednoczesnej kompensaty tego opustu na zarobku pracy. Gotowi jesteście za szczerą prawdę uznać to, że głód i bezdomność robotnika, analfabetyzm i cherłactwo jego dzieci, zawarte są w kalkulacji kapitału monopolistycznego, którego wyrazem są kartele, tak samo, jak niegdyś kości niewolników egipskich zawarte były w piramidach faraonów, a potem praca pańszczyźniana w dworach i zamczyskach możnowładczych. Gotowi jesteście nawet iść jeszcze dalej i uznać, że koszty własne kartelów nie dadzą się pogodzić z kosztami cywilizacji i samoobrony kraju, z polityką chleba dla głodnych, z polityką dachu dla bezdomnych. Słowem gotowi jesteście przy-

## W JARZMIE KARTELI

stać na wszystko, co nam do wierzenia podają magowie kapitału.

Ale wzamian za to, niechże i oni zgodzą się z nami na jedną skromną tezę, która jest tylko nieuniknionym wnioskiem z ich wywodów. Niech zgodzą się z nami, że ustrój gospodarczy, który na takie potworności zezwala, wydaje sam na siebie wyrok tak nieubłagany i tak nieodwołalny, jak ten, który historia wydała na jarzmo niewolnictwa i na stulecia pańszczyzny.

## UBÓSTWO PRZESTAŁO SIĘ OPLACAĆ

Liczbę i fakty, jakie przez trybunę sejmu przemazzerowały w zaraniu r. 1936 miały w sobie coś mrozącego. Słyszało się w nich jakgdyby suchy klekot kości, ogryzanych przez nędzę; dzwoniły w nich jakby młoty, zbijające trumny dla niemowląt i dzieci chłopskich koszonych jak trawa; piętrzył się coraz wyżej potop ciemnoty; coraz szerzej szła inwazja gruźlicy... Każde szóste dziecko polskie umiera już w kołysce; co piąte wyrasta na analfabetę; co trzecie lub czwarte skazane będzie na bezrobocie... Dowiedzieliśmy się także, że połowę poborowych wytrąca z szeregu niedorozwój fizyczny, spowodowany głodem lub chorobami. Dowiedzieliśmy się wkońcu i tego, że przestępczość wzrasta równolegle z analfabetyzmem i bezrobociem, i że w narastającej fali kryminalistów coraz większy mają udział przestępstwa popełniane z braku chleba i dachu nad głową.

„Każdy rok przedłużającego się kryzysu — mówił min. spraw wewnętrznych — w związku z szybkim przyrostem ludności i zupełnem zahamowaniem naszej ekspansji emigracyjnej, staje się w Polsce zagadnieniem coraz poważniejszym”.



## UBÓSTWO PRZESTAŁO SIĘ OPLACAĆ

Otóż to właśnie! Stoimy wobec zagadnienia, które z każdym miesiącem przybiera na powadze. Staje się zaś naprawdę tragiczne wskutek tego, że żaden z ministrów, lub posłów i senatorów nie umiał i nie próbował wskazać drogi wyjścia z istniejącego stanu opresji. Ten i ów mówił o kryzysie, jako o tymczasowem załamaniu się równowagi gospodarczej. Ale czyż w związku z potopem nędzy, który nas zalewa, wolno mówić o tymczasowości? Czy wolno wierzyć, że kryzys ten jest przypadłością zwykłego wahania konjunktur? Że po konjunkturze, która trzecią część ludności w kraju wyrzuciła poza obieg dóbr gospodarczych, wróci, sama przez się, konjunktura, która wchłonie wszystkich bezrobotnych, wszystkim dzieciom otworzy drzwi do szkół, wszystkim obywateli powoła do udziału w pochodzie cywilizacji?

Nie! To — nie przejściowe niedomaganie; to — nie chwilowa głódówka, po której organizm staje się zdrowszy i sprawniejszy; to — nie przygoda, z której wychodzi się w drodze deflacji lub inflacji, nakręcania konjunktury lub manewrów walutowych. To — schyłek wielkiej epoki, która na oczach naszych kona, zapadając w przeszłość tak samo, jak zapadł w nią patrycjat rzymski, oparty na niewolnictwie, jak przeminął feudalizm średniowiecza, oparty na pracy pańszczyźnianej. Pod wpływem rozwoju nauki, datującego się od trzech stuleci; pod wpływem jej zastosowań technicznych i wynalazków, które rozpoczęły

## NA ŚLEPYM TORZE

się od kilku pokoleń, a szybkiego rozpędu nabrały w ostatnich latach dwudziestu, ludzkość wkroczyła nie w nową fazę konjunktury gospodarczej, ale w nową erę cywilizacji. Tragizm sprzeczności i kontrastów, w jakim szamocą się wszystkie kraje kapitalistyczne bez względu na to, czy żyją pod dyktaturą, czy pod rządami demokracji parlamentarnej, polega na tem, że bądź nie zdają one sobie sprawy z doniosłości wielkiej przemiany, jaka w ostatniem ćwierćwieczu nastąpiła, bądź też nie mają odwagi wysnuć wniosków praktycznych z założeń, jakie przemiana ta wprowadziła w dotychczasowy układ produkcji oraz w sytuację człowieka w tym układzie.

Szanujący się mężowie stanu i poważni działacze ekonomiczni, zapatrzeni we wzory przedwczorajsze, nie wahają się w przemowach swoich opiewać tego, co umarło w życiu. Z zapamiętaniem, godnem głuszców, mówią o ideach, którym przestała odpowiadać jakakolwiek rzeczywistość: prawią o współzawodnictwie, jako motorze postępu; o popycie i podaży, jako regulatorze cen; o godziwym zysku przedsiębiorcy, jako nagrodzie za wytwórczość; o wyścigu pracy, jako drodze do bogactwa; o rentowności i opłacalności, jako warunku zdrowej kalkulacji.

Każda z tez powyższych zawiera w sobie przykazanie, które jeszcze przedwczoraj, jeszcze wczoraj, w ekonomji nieuleczalnego niedostatku i ubóstwa, miało swą treść i swe uzasadnienie. Dziś w dobie

## UBÓSTWO PRZESTAŁO SIĘ OPLACAĆ

nadmiaru środków wytwórczych i chronicznego bezrobocia, są one karykaturą i urągowskiem z niedoli milionów ludzi, zamkniętych w sidłach niedoli.

Bo i cóż znaczyć może gloryfikacja pracy w obliczu nędzarzy, którzy dłonie swe krwawią bezsilnie o bramy zamkniętych fabryk? Co warte jest usprawiedliwianie zysku kapitalisty udziałem w produkcji, skoro zysk niemniejszy, a niekiedy większy osiągać on może przez powstrzymanie się od produkcji lub jej ograniczenie? A słynna, sakramentalna rentowność, która nie schodzi z ust przedstawicieli naszych sfer gospodarczych, jako hasło „przymierza między dawnymi, a nowymi laty”? Rentowność — rzekł jeden z naszych ministrów — nie jest grzechem. Zgadzamy się z nim w zupełności. Ale gdzież jest owa rentowność, której przedsiębiorca dzisiejszy nie zakładałby na nędzy robotnika, na ruinie jego ubezpieczeń emerytalnych, na wyzysku spożywcy, szantażowaniu urzędów podatkowych, oraz państwowych instytucji kredytowych?

A może szukać jej mamy pod strzechą wiejskiego chłopca-rolnika, który opłacalność swego zagonu okupuje mogiłami własnych dzieci i barbarzyńską stopą życia swego i swej rodziny?

Wszak bilansem rentowności, jaką wykazuje kapitał, gospodarujący w Polsce, są te właśnie cyfry i fakty, których odgłosem przez kilka tygodni rozbrzmiewały mury naszego sejmu: to są kolumny bez-



## NA ŚLEPYM TORZE

robotnych, miliony analfabetów, dziesiątki milionów nędzarzy; kolumny, które bynajmniej nie ujawniają dążności do zaniku i które zatrwożyć muszą serca najmniej skłonne do popłochu.

Są wprowadzie w Polsce ludzie tak twardego ducha, że nie przejmują się niczem i mężnie znoszą niedole, które nie biją o progi ich własnego mieszkania. Sądzą oni, że dostateczną daninę troski o naród składają już wtenczas, gdy, stając wobec kartelów, prawią im wzniosłe kazania na temat zgubnych cen sztywnych; stając zaś wobec wsi chłopskiej, błogosławią pługowi orzającemu rolę, coraz mniej wydajną, a przez to mimowoli błogosławią i łopacie cmentarnej, układającej do ziemi coraz większy odsetek dzieci chłopskich, zamorzonych głodem.

Pomijam pytanie, czy tym chłopskim wkładem pługa i łopaty cmentarnej można, jak czynią niektórzy, cieszyć się, jako wkładem rolnictwa w gospodarstwo kraju. Chciałbym podkreślić raczej to tylko, że na takich wkładach zbudujemy niewiele. Jeśli bowiem jest dzisiaj rzecz, o której można powiedzieć, że się przestała opłacać, to jest nią ubóstwo i ciemnota mas.

W niedoli społecznej, jaką przeżywamy, odbija się i streszcza ewolucja ekonomiczna całego ubiegłego stulecia. Ewolucja ta odbyła kolosalną drogę od kapitalizmu liberalnego do kapitalizmu zorganizowanego, któremu przeciwstawia się stopniowo lecz stale

## UBÓSTWO PRZESTAŁO SIĘ OPLACAĆ

narastający zorganizowany antykapitalizm: ekonomja „bezkřęgowa” ustępuje miejsca ekonomji „kręgowej”, której zróżnicowane organy zaczynają świadomie oddziaływać na procesy produkcji planowej. W obliczu spustoszenia, szerzonego przez kryzys, który drwi zarówno z deflacji jak inflacji, idea gospodarki planowej stała się hasłem wszystkich, którzy zrozumieli, że dotychczasowy system ekonomiczny się przeżył.

Jakkolwiek wszakże słuszną jest teza zasadnicza o konieczności wprowadzenia do gospodarki planu kierowniczego, stwierdzić należy, że kierownictwo takie dać może wyniki bądź najlepsze, bądź najgorsze, w zależności od tego czy zechcemy przekreślić czy też zachować ramy własności kapitalistycznej. (Podkreślam termin „kapitalistycznej”, gdyż najszerzej zakrojona reforma uspołecznienia środków wytwórczości może ogarniać jedynie własność kapitalistyczną, nie zaś własność prywatną niekapitalistyczną: ani maszyna do szycia, ani pług chłopski, ani hebel stolarski socjalizacji podlegać nie mogą).

Gospodarka planowa, oparta o własność kapitalistyczną, prowadzi z konieczności do faszystowskiej zasady państwa „totalnego”, gdyż kapitał, pozostając panem środków wytwórczych, musi, aby kierować gospodarką, skupiać w swych rękach nieograniczoną i niczem nieskrępowaną swobodę dyspozycji. Ustrój państwa totalnego zapewnia kapitałowi mo-

nopolistycznemu oraz plutokracji zwierzchniczą władzę gospodarczą, pozwalając im do najwyższego stopnia wzmacniać i udoskonalać wszystkie organy nacisku. Ponieważ jednak organizacja ta wspiera się na podstawie ekonomji kapitalistycznej, a więc wyrosłe z niej kierownictwo powoduje się rachubą zysku, nie zaś rachubą potrzeb społecznych, przeto nie może ono w niczem pohamować przyczyn kryzysu, i ogólny paraliż życia trwa naprzekór wszelkim próbom ratunku.

Wstrząsy i kontrasty kapitalizmu, miotającego się w poszukiwaniu dróg wyjścia z rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazł, nie są jednakże pozbawione pewnych pierwiastków twórczych, których doniosłość przeoczać byłoby dziecinnem zaślepieniem. Jakkolwiek w stosunku do metod zaradczych, zalecanych przez kapitalizm, wskazany jest jak najdalej idący sceptycyzm, zgodzić się można, że wszystkie, podejmowane dotychczas eksperymenty gospodarki planowej, prowadzą do wytworzenia organów kolektywnej dyrekcji i dyspozycji, stanowiących jakgdyby potężny zarys budowy gospodarki uspołecznionej, dojrzewającej w łonie kapitalizmu. Ażeby ją z pęt dotychczasowych wyprowadzić, dość będzie zamiast uprzywilejowanej mniejszości na szczytach owej budowy podstawić demokratyczną zbiorowość.

Istnieją doświadczenia, które nie udają się nie dlatego, ażeby były źle pomyślane, ale dlatego, że są



## UBÓSTWO PRZESTAŁO SIĘ OPLACAĆ

niedostateczne, że nie zostały doprowadzone do końca.

Czy nie tak jest i z doświadczeniem gospodarki planowej? W rękach ludzi, polujących na zysk osobisty, staje się ona karykaturą i zaprzeczeniem swoich własnych intencji i założeń. W rękach ludzi, ożywionych ideą zaspokojenia potrzeb zbiorowości, staje się instrumentem wyzwolenia milionów ludzi z jarzma nędzy, sideł wyzysku, bezwładu ciemnoty i pokus zbrodni. Gdy ubóstwo przestało się opłacać, mamy prawo, a więc miejmy też i odwagę sięgnąć po dostatek i bogactwo!

Pamiętajmy bowiem, że zawodne jest wszelkie wyzwolenie, moralne, czy umysłowe, jeśli nie idzie w parze z wyzwoleniem gospodarczym.



### III

GDZIE JEST OJCZYZNA BEZROBOTNYCH?





## POCIĄGI PŁACZU

Los polskiej emigracji robotniczej we Francji jest sprawą, która posępnym cieniem kładzie się na obrazie stosunków Polski z jej wielką sojusznicą. Bezceremonjalność, z jaką robotnik polski rugowany jest z kraju, w którym pozostawił kwiat swej kilkunastoletniej pracy; wyniosła obojętność, z jaką żegnają go dzielnice, które on wysiłkiem swym a częstokroć i krwią swoją użyźnił i odbudował, wywołują żal, gorycz i ból w tych nawet ośrodkach naszego społeczeństwa, które dotychczas nie znały w stosunku do Francji innych uczuć, jak entuzjazm przyjaźni i braterstwa.

Wszelako, przedstawiając choćby najrzetelniej cieranie tych dróg, po których tuła się nasz wychodźca, szukający chleba na obczyźnie, ujmujemy zawsze jego dolę od strony polskiej, patrzymy zawsze na jego tragedję oczami własnego kraju.

Ale jak patrzą na nią Francuzi? Jak los naszej emigranckiej biedoty przedstawia się od tamtej strony?

Przypadek sprawia, że, odpowiadając na to pytanie, możemy powołać się na świadectwo niesłychanie znamienne, brutalne w swej szczerości a nieodparcie autentyczne.

## GDZIE JEST OJCZYZNA BEZROBOTNYCH?

W jednym z poważnych czasopism francuskich *Nouvelle Revue Française* znany eseista paryski p. Pierre Hamp, pisząc błyskotliwy feljeton o urokach poezji, jakie tają się w księdze, napozór, tak prozaicznej, jak „Rozkład jazdy pociągów“, potrąca o rolę komunikacji w rozwoju stosunków międzynarodowych, staje wobec przełomu, jaki kolej parowa wniosła w życie społeczne i kulturalne, a wreszcie przedstawia tę kolej żelazną, jako dźwignię i motor olbrzymich ruchów masowych, w ich zaś liczbie wskazuje także masowy napływ proletariatu polskiego na roboty do Francji.

„To co przekształca społeczeństwo — pisze p. Hamp — to — nie spacery próżniaczych jednostek; to — wędrówki rzesz pracowniczych. Kolej żelazna rozprowadziła po Francji dwa miliony cudzoziemców, przyczem 500.000 osiadło w jednym departamencie Sekwany. Drogi żelazne stały się dzisiaj tem, czem ongi były doliny najazdowe, gościńce wędrówek ludów. Inwazje dzisiejsze dokonywać się mogą w ciągu kilkunastu godzin. Pociągi warszawskie, zwane *pociągami wszy*, przewoziły do kopalń francuskich całe osiedla polskie wraz z nauczycielem i księdzem. Pociągi powrotne, zwane przez górników *pociągami płaczu*, zabierają ludzi w Bully-Granay, w Lens, w Henin Lietard i — po latach dziesięciu odstawiają do Polski całe rodziny, których potomstwo zaczęło lekcje pobierać w szkole francuskiej“.



## POCIĄGI PŁACZU

Oto „miły obrazek“, uroniony mimochodem przez wykwintnego Francuza, lecz jakże dokumentalne rzucający światło na położenie, na pozycję socjalną robotnika polskiego za granicą! Pociągi, przybywające z Warszawy, to dla środowiska francuskiego „trains des poux“. Ci „wszarze“ polscy, zaraz na wstępie tak „serdecznie“ powitani, zyskują wspa-  
niałomyślną możność poświęcania swej pracy, gęsto przeplatanej śmiercią, szlachetnej gospodarce francuskiej. Pracują w ciągu lat pięciu, dziesięciu, piętnastu. Krwawili się na polach, zrytych i usianych szrapnelami, gdzie każde uderzenie łopaty groziło wybuchem zdradliwych pocisków, pracowali w podziemiach kopalń, które częstokroć stawały się ich grobem; zżerali płuca swe w jadowitych przemysłach chemicznych; znojem i potem rosili sady i winnice podmiejskich chciwych kułaków... Niejeden złożył skórę w ofierze gościnnemu chlebobdawcy, niejeden przypłacił trud swój chorobą lub kalectwem... Śmieszni doprawdy, śmieszni wszarze! Lecz patrzcie, patrzcie: co za dziwny gatunek ludzi! Gdy się ich wygania z galerniczych robót, gdy się ich pakuje do wagonów, aby wracali, skąd przyszli, oni mają łzy w oczach, żal im opuszczonej katorgi, pociągi ich powrotu nazywają się „pociągami płaczu“.

Co jest w tym niemiłosiernym obrazie najokrutniejsze, to fakt, że ani przez usta p. Hampa, ani przez redakcję miesięcznika, który feljeton jego zamieścił,

## GDZIE JEST OJCZYŻNA BEZROBOTNYCH?

nie przemawia złośliwość osobista lub chępliwość narodowa. Zarówno pióro autora, jak czasopismo, które mu dało gościnę obce są szowinizmowi i nie mają nic wspólnego z tendencją bądź ksenofobji bądź pogardy dla świata pracy. „Nouvelle Revue Française” to — nie zaściankowa kapliczka stęchlizny i samouwielbienia, to — nie sadzawka, w której śpiewają ku własnej chwale żaby rozkochane w sobie. To — trybuna, z której głos zabierają indywidualności takie jak André Gide, jak M. Arland, jak Fernandez, jak Paul Claudel, jak Paul Valéry. W świecie literatury i krytyki niema we Francji dzisiejszej nic, coby miało prawo zgóry spojrzeć na grono pisarzy, skupionych w „N. R. F.”.

Nie mamy też podstaw ku temu, aby p. Hampa posądzać o złą wolę i chęć znieważenia Polski przez wyszydzanie nędzy i poniewierki polskiego wychodźstwa. Możemy nawet zrozumieć jego niepokój, gdy mówi ze skargą, że Francja „zebrała dzisiaj u siebie wszystkie nędze Europy, bo każda kategoria cudzoziemców przyniosła swoją: Chińczycy bezrobotni z Billaucourt, Żydzi z ulicy des Rosiers, Portugalczycy z ulicy Vadé — wszyscy oni wykazują wytrwałość, która przekracza siły Francuza”. I ponieważ Francja stała się przytułkiem proletarjatów całej Europy, przeto zaludniły ją też nędze wszelakiego rodzaju.

Feljetonista paryski widzi te ghetta emigranckie,

## POCIĄGI PŁACZU

ale widzi także ich bezradność i bezdomność i przeciwstawia się on tym, którzy zalecają mechaniczne i natychmiastowe rугi.

„Nie jest tak łatwo — ostrzega Hamp — wykonać to zalecenie, jak się je wypowiada. Naprzód, fale robotników przybywały masowo, powrót zaś odbywał się indywidualnie. Powtórę, cudzoziemiec wszedł w nasze obyczaje, w naszą ekonomję życia. Stał się klientem drobnych kramów i legowisk. Jakibykolwiek był ucisk nędzy, jakkolwiek głębokie jej dno, zawsze znajdziemy kogoś, kto z niej czerpie zyski... Kolej żelazna nie tak łatwo może odrobić to, co zrobiła. A zrobiła ona to, że praca francuska jest dziś już pracą umiędzynarodowioną”.

Tak, to nie zniewaga, nie urągawisko przemawia z kart francuskiego czasopisma. To tylko spojrzała ku nam odbita w oczach Francuza dola naszego chłopca, nędza naszego robotnika, oderwanych od roli polskiej i od bruku miast polskich i rzuconych w środowisko obcej, dojrzałej kultury, mającej swe surowe, nieubłagane probierze wartości.

Ten chłop bezrolny i robotnik bez pracy, zmuszony uchodzić za granicę, aby nie zginać z głodu, jest najtragiczniejszym elementem stosunków społecznych w strukturze odrodzonej Polski. Nie dla nich bowiem powstała z martwych wyzwolona ojczyzna. Nie dla nich narodziło się prawo obywatelstwa na własnej ziemi. Oni pozostali nadal parjasami, skazanymi na



## GDZIE JEST OJCZYZNA BEZROBOTNYCH?

drogi tułactwa, na wysługę obcym, na piętno wyrzeczenia w otoku cudzego bogactwa. Jak pięćdziesiąt lat temu, tak i dziś pozostaje dla nich prawdą straszna skarga poety, w której „Polska, tak bogata, że wyżywić mogłaby pół świata...” nie ma chleba dla własnych dzieci.

Ale oto nowe oblicze tej tragedji. To, co przywykliśmy uważać za niedobór wewnętrzny, to jednocześnie staje się dla Polski, jako dla Państwa, czynnikiem degradacji i upokorzenia na arenie międzynarodowej.

Nie łudźmy się bowiem, że dla opinji zagranicznej istnieją tylko nasze przedstawicielstwa i placówki dyplomatyczne. Pisarz francuski energicznie wyprowadza nas z tej złudy. Na reprezentację narodu składa się mnóstwo pierwiastków, a w ich szeregu, jeśli nie na ich czele — gdy chodzi o Polskę — wartość i ranga społeczna naszego wychodźstwa, naszych środowisk polskich zagranicą. Każdy Polak, który osiedla się na obczyźnie, który tam szuka pracy i zarobku, jest w jakimś maleńkim, lecz bezspornym ułamku częścią naszej ambasady w tym kraju. Jakże wymowną reprezentacją jest nasz proletarjat emigrancki, który we Francji liczył się do niedawna na setki tysięcy osób. Cóż opinji naszego społeczeństwa w oczach zagranicy pomogą luksusowe komforty, w jakich podróżuje do Paryża jakiś prezes rady nadzorczej, jakiś ambasador, bankier lub ordynat,

## POCIĄGI PŁACZU

jakiś purpurat kościoła, jeśli pociągi, które wiozą lud nasz do Francji, znane są, jako „les trains des poux”? Ci, którzy radziby w kraju trzymać chłopą pod butem, ci najbardziej rujnują kredyt Polski zagranicą. I jakże zdołamy o potędze więźby społecznej, która nas sprzęga w naród, przekonać tych, co patrzą na łzy naszych emigrantów, „skazanych” na powrót do ojczyzny?

Trains des poux i trains des larmes: oto dwa bieguny doli polskiego robotnika-wychodźcy, odbite w oku obcego, beznamiętnego obserwatora. Czyż naprawdę mają one nazawsze pozostać naszą zbiorową reprezentacją wobec Zachodu?

## PONAD SŁUPY GRANICZNE

Depesze, nadchodzące z Francji, nabrzmiały znów krzykiem rozdzierających a bezsilnych skarg naszego wychodźstwa.

Dziesiątki tysięcy chłopów polskich, które niosły swą żywą siłę roboczą poza Ren, wracają dziś do kraju w szponach tej samej nędzy, przed którą chcieli uciec, ale wracają już bez siły i zdolności do pracy, które wyssały z nich kopalnie węgla lub pola zryte pociskami wojny.

Jak wiadomo, karty pracy cofnięto we Francji tym wszystkim robotnikom-imigrantom, którzy nie wykazali się 10-letnim w tym kraju pobytem. Wyobraźmy sobie dynamikę umysłową chłopą polskiego, któremu ojczyzna nie dała ani należytej oświaty, ani odwagi do walki o swe prawa, — i każmy mu, w kraju obcego języka, w obcych urzędach, wyjednywać dokumenty i legitymacje!... Każmy mu troszczyć się o to, aby miał w porządku swoją „carte d'identité” i swoją „carte du travail”... W jego wsi rodzinnej od wieków uczono go tylko podejmować pod nogi dziedzica, całować w rękę proboszcza i kłaniać się każdej władzy; cóż dziwnego, że gdy tę „mądrość” prze-



niósł w kraj Zachodu, stał się przedmiotem pośmiewiska i pogardy? „Pociągami wszarzy” nazwali Francuzi wagony, które przybywała emigracja z Polski; „pociągami płaczu” nazywają te, które ona odjeżdża.

Piętnem upokorzenia i klątwą bezradności płacą chłop polscy na obczyźnie koszty tej wiekowej poddańczości i ciemnoty, w jakiej wychowała ich ojczyzna.

Bo nie trzeba chyba dodawać, że Polak-wychodźca, będący przedmiotem pośmiewiska obcego kraju, stał się też ofiarą niemiłosiernego zdzierstwa. Chłop i robotnik polski „ces pauvres malheureux” (biedni nieszczęśliwcy) zaprzęgani są do jarzma pracy, z którego oddawna wyłamał się proletarjat francuski; któremu nie chce ulegać nawet przybysz z Włoch lub Belgii. Dla kogóż we Francji jest tajemnicą, że kopalnie, zatrudniające największą liczbę naszego wychodźstwa, są temi, gdzie najkrwawsze, najliczniejsze pobory pochłania „czarna śmierć”? Są to kopalnie, położone w departamentach Nord i Pas de Calais: podziemne lochy katorgi i wyzysku, wymagające straszliwego wysiłku pracy a urągające najpierwotniejszym warunkom bezpieczeństwa i zdrowotności. Gdyby dziś żył i pisał Henryk Sienkiewicz, mógłby swego Bartka-Zwycięzcę przenieść na drugą stronę Renu i postawić na dnie francuskiej kopalni węgla: pobojowisko nie byłoby ani mniej ponure, ani mniej upokarzające.

## GDZIE JEST OJCZYZNA BEZROBOTNYCH?

Lecz dno niedoli emigranckiej polega właśnie na tem, że ofiary jej, wzdrygając się przeciw warunkom nędzy i upokorzenia, trzymać się ich muszą i chcą ich trzymać się kurczowo, jako ostatniej krawędzi ratunku. Bo i cóż dla tych wygnańców głodu oznaczać może powrót do ojczyzny? Polska w dobie obecnej ugina się ciężej, niż kiedykolwiek, pod klęską bezrobocia. Każda para rąk, wracająca do kraju, oznacza przyrost tej klęski. Dlatego to pociągi powrotu są dla naszych emigrantów naprawdę „pociągami płaczu”.

System gospodarczy, w jakim żyjemy, doprowadził kraje Europy do tego, że nawzajem odpychają od siebie, jak niezdolny ciężar, to, co jest najwyższą dźwignią cywilizacji i postępu: żywą siłę ludzką, twórcze pogotowie pracy. Kapitały, skupione w rękach coraz węższej plutokracji, sprzysięgły się przeciw kadrom robotniczym, jakby oślepione egoizmem, który kazał im zapomnieć o korzeniach, z jakich wyrosły.

Znamy szanse, na których obwarował się próżnujący pieniądź przeciw głodnym zastępom rąk i mózgów, poszukujących zatrudnienia. Znamy argumenty, jakimi sfery gospodarcze Francji tłumaczą rugi polskiego robotnika i uzasadniają ustawy, mające kres położyć obcej imigracji pracowniczej. Znamy, powtarzam, te argumenty, ale ani ich podzielić, ani uszanować nie możemy.

## PONAD SŁUP GRANICZNY

Jeżeli brzmią one fałszywie nawet w ustach sfer finansowych, to już wręcz zgubne i niedopuszczalne są ze stanowiska interesów pracy.

Radykalna a przede wszystkim robotnicza demokracja francuska łądzi się małodusznie, skoro sądzi, że zamykając barjery przed dopływem obcego wychodźstwa, rozszerzy i nowe pozyska pole dla dobrobytu rodaków. Jeśli nie co innego, to dziesięcioletnie doświadczenie Ameryki powinno było przestrzec ją przed skutkami podobnych zarządzeń. Stany Zjednoczone, jak wiemy, ulegając naciskowi moźnej organizacji, jaką była „American Federation of Labor”, zamknęły niemal całkowicie po wojnie swe granice dla obcego wychodźstwa. I jakiż był rezultat? Czy wzrósł rynek pracy, chroniony od napływu współzawodnictwa? Nic podobnego. Wyniki tej dyplomacji ochronnej zadały kłam przesłankom, które ją natchnęły. Wewnątrz kraju, otoczonego barjerami, które miały zapobiec bezrobociu, nim jeszcze nastąpił kryzys, rozrosła się właśnie wielomiljonowa armja bezrobotnych: racjonalizacja techniczna, której chwycili się fabrykanci, aby stawić czoło wymaganiom pracy, spiętrzyła rezerwę robotniczą o wiele większą od tej, którą tworzył napływ emigracji spoza oceanu.

Zamknięcie granic kraju dla obcej pracy, rugowanie z jego warsztatów cudzoziemskiej siły roboczej, nie przynosi żadnej — na dalszą metę — ulgi robot-



## GDZIE JEST OJCZYŻNA BEZROBOTNYCH?

nikowi miejscowemu, nie staje się żadną dla kapitału zaporą na drodze do wyzysku swoich własnych rodaków. Emigrant, szukający chleba na obcym gruncie, nie z rozkoszy go szuka, ale z ciężkiego przymusu. Zmuszony wracać do swej ubogiej ojczyzny, powiększy w niej stan i beznadziejność bezrobocia, a przez to samo osłabi jeszcze bardziej obronne stanowisko swej klasy i wywoła nową obniżkę warunków pracy i zarobku. Ostateczny tedy wynik jest taki, że, rugując z granic swych obcą siłę roboczą, kraj niegościnnie wystawia się jedynie na dumping społeczny, wzmożony naporem tych właśnie państw, ku którym fala reemigracji odpływa.

Pod naciskiem tak wzmożonego dumpingu, sfery gospodarcze kraju, który w barjerach swoich się zamknął, zmuszone będą do nowego ataku na płace pracownicze. Faktem jest bowiem, że, gdy liczba bezrobotnych wzrasta — obojętne: po tej czy po tamtej stronie barjery granicznej — bezrobocie ich zawsze prowadzić będzie do obniżki warunków bytu i pracy całej klasy roboczej we wszystkich krajach.

Każdy chłop, każdy robotnik polski, wygnany z Francji, stanie się — w ostatecznym wyniku konsekwencji gospodarczej — okrucieństwem mściwego losu, który prędzej albo później zaciąży nad dolą i warunkami pracy robotników francuskich, bez względu na ustawy, jakimi odgrodziliby się oni od zagranicy.

## PONAD SŁUP GRANICZNY

Takie jest bowiem to nieubłagane koło zaczarowane, w którem dzisiejszy system gospodarczy zamyka żywioły pracy, narzucając im wspólność interesu i wspólność broni w walce o byt, niezależnie od ich woli: czy chcą, czy nie chcą, muszą wybiegać wzrokiem ponad słupy graniczne swych krajów rodzinnych, ponad barjery, w których obrębie patrzy im w oczy tylko rosnące bezrobocie i nieunikniona nędza.

## ZIEMIA DLA BEZROBOTNYCH

Ludzie, gorączkowo poszukujący wyjścia z obecnego kryzysu gospodarczego i pragnący jaknajrychlejszą ulgę przynieść rzeszom, wyczerpanym nędzą i głodem, wysuwają, jako nadzieję ratunku, program wielkich robót publicznych.

I, niewątpliwie, roboty publiczne znajdują coraz szersze zastosowanie, jako doraźny sposób dożywiania bezrobotnych wzamian za pewną sumę skoszrowanej pracy, pobieranej zazwyczaj w formie jaknajpierwotniejszej i elementarnej. Ale już to właśnie, że symbolem tych robót stały się łopata i szpadel, taczki i wózek ręczny, a więc goły prawie wysiłek mięśniowy, nieustokrotniony techniką, kładzie na nich piętno staroświeckości i przymusu: świadczy obrazowo o tem, że chodzi w nich więcej o zatrudnienie rąk bezczynnych, niż o wydajność i ekonomję pracy.

Do robót publicznych młodzieniec, wstępujący w życie, może zaciągnąć się z biedy; czyż może dostrzec w nich źródło radości bytu, dźwignię rozwoju indywidualnego lub choćby widoki zawodowej edukacji? W najlepszym razie znajdzie w nich tymczasową grzędę wegetacji, ograniczoną do tego lub owe-



## ZIEMIA DLA BEZROBOTNYCH

go sezonu. Na takiej grzędzie sezonowej czyż można pomyśleć o założeniu rodziny, o ustaleniu swego bytu? A w takich warunkach czy można nie ulec ciśnieniu wyjaławiającej niwelacji masowej, wytykanej na Zachodzie, jako pierwotny grzech bolszewizmu?

Roboty publiczne są — oczywiście — systemem pracy nie pozbawionym doniosłej użyteczności społecznej. Istnieją w Polsce zadania, jak np. regulacja rzek, kopanie kanałów, osuszanie bagien, które tylko masowem ramieniem drużyn, skupionych pod znakiem robót publicznych, mogą być ruszone z miejsca i skutecznie realizowane. Ci, którzy mieli możliwość zapoznania się z obszarem robót, organizowanych przez Fundusz Pracy, powzięli pojęcie o tem, czego — i w jakim wartkiem tempie! — można na tem polu dokazać. Wszelako, śledząc, choćby zdaleka, owe roboty publiczne, sami dostrzegli pewnością i granice, w których one z konieczności muszą się zamykać. W strukturze kapitalizmu, opartej na współzawodnictwie, roboty publiczne, istotnie, podejmowane bywają na tych jedynie szlakach, które nie krzyżują się ze współzawodnictwem innych gałęzi pracy. I nic dziwnego: wszak w ich założeniu tkwi nietyłe postulat produkcji, obliczonej na pokrycie najpilniejszych potrzeb zbiorowych, ile chęć złagodzenia skutków bezrobocia.

Trzeźwi i sumienni ekonomiści, umiejący patrzeć

## GDZIE JEST OJCZYZNA BEZROBOTNYCH?

w oczy niedolom rzeczywistości, oddawna podają w wątpliwość roboty publiczne, jako metodę walki z kryzysem. Przeczą oni wogóle, aby można było do walki tej występować od strony werbunku nowych rąk roboczych, bez uprzedniego bardzo wydatnego, zmniejszenia godzin pracy, obarczających robotników już zatrudnionych, bądź w fabrykach i kopalniach, bądź na roli. Wszak klęską — dowodzą oni — pod którą ugina się świat kapitalistyczny, nie jest wcale brak towarów na składach lub niedobór rąk, niezbędnych do ich wyrobu. Klęską istotną jest zanik siły nabywczej wśród olbrzymich rzesz społecznych, głodnych i żądnych spożywania dóbr ziemskich, lecz nie mających do nich dostępu. Podniesienie zarobków świata pracy oraz skrócenie dnia roboczego: oto dwie przesłanki, które narzucają się w obecnych warunkach, jako jedynie skuteczna droga wyjścia z kryzysu, gdyż na tej tylko drodze można wzmóc siłę nabywczą społeczeństwa, a więc kres położyć nadprodukcji.

Sprawiedliwszego podziału bogactw nie da się osiągnąć bez słusznieszego podziału pracy, t. j. bez wchłonięcia w tryby produkcji rezerwuaru bezrobotnych. Ażeby zaś móc pracę rozłożyć na wszystkich, którzy są do niej zdolni i powołani, czyż jest sposób inny, niż ciężary jej, przypadające na każdego, odpowiednio zmniejszyć, bez umniejszania oczywiście dotychczasowych zarobków?

## ZIEMIA DLA BEZROBOTNYCH

Reforma społeczna, wyrażająca się w znacznej redukcji długości dnia roboczego, jest dziś bezspornie takim samym nakazem cywilizacji, jakim przed wiekami było przejście od pracy niewolniczej do pańszczyzny, a następnie od pańszczyzny do wolnej pracy najemnej. I wszystko zdaje się przemawiać za tem, że kompleksowi gospodarczemu, który reformę tę pierwszy wprowadzi w życie, da ona takie samo premjum dziejowe, jakie przyniosły przełomy poprzednie. Człowiek dzisiejszy, człowiek „ustokrot-niony“ techniką, stoi w obliczu wielkiej przemiany, rokującej mu możność nowego, zbiorowego dźwignięcia się o parę stóp w górę z ustroju przymusu ku ustrojowi wolności. Skrzydła samolotu, szumiące nad naszymi głowami spełnionym snem tysiącleci, są jakby znakiem zewnętrznym, wołającym człowieka do nowych przeznaczeń, do nowego triumfu ducha nad ślełą gliną bezwładu.

Margines wolnego czasu, pozostawiony człowiekowi poza jego troską codzienną o byt materialny, ów dar wolności, będący najistotniejszą zdobyczą cywilizacji, a stanowiący dotychczas przywilej możnych i bogatych, mógłby, dzięki technice nowoczesnej, stać się udziałem coraz szerszych zastępów społeczeństwa.

Ale tu, niestety, na samym wstępie drogi, wiodącej w przyszłość, spotykamy skałę oporu, tkwiącą u podstaw dotychczasowej hierarchji społecznej. Organizacja pracy w dotychczasowych kulturach świa-



## GDZIE JEST OJCZYŻNA BEZROBOTNYCH?

ta — od czasu faraonów egipskich aż po dni Forda i Kruppa — opiera się na dyscyplinie głodu, na przymusie ubóstwa. Dla ludzi możliwych odpychającą jest myśl, aby człowiek pracy, człowiek ubogi, mógł — poza kęsem chleba, dobywanym w pocie czoła — rozporządzać bodaj kęsem wolnego czasu. Państwa dzisiejsze, czy żyją pod rządami demokracji parlamentarnej, czy dyktatury faszystowskiej, są jednakowo skazane na to, aby swe rzesze pracownicze utrzymywać w posłuszeństwie postrachem nędzy i głodu. W Anglii jeszcze w początkach ubiegłego wieku obowiązywał 15-godzinny dzień roboczy dla dorosłych, niewiele krótszy — dla nieletnich. Gdy przedsiębiorcom wytykano te praktyki nieludzkie, jako przesadne zdzierstwo, odpowiadali, że długa praca chroni dorosłych od pijaństwa, nieletnich od rozpusty. Dziś, w zasadzie, obowiązuje dzień 8-godzinny, ale gdzież jest kraj (poza Unją Amerykańską i Unją Sowiecką), gdzieby normy tej nie przekraczano?

Bertrand Russell, znany pisarz angielski, przypomina sobie z czasów swego dzieciństwa, że, wkrótce po uzyskaniu przez robotników w Anglii prawa wyborczego do Izby Gmin, wprowadzono tam pewne ustawowe dni odpoczynkowe. Ustawa ta spotkała się z głośnem oburzeniem sfer uprzywilejowanych: „Na co robotnikom — pytała pewna stara hrabina — dni wolne? Alboż oni umieją korzystać z wolnego czasu?”

Dyrektorzy dzisiejszych kartelów spewnością są

mniej prostoduszni od starej hrabiny angielskiej, ale poglądy ich niewiele odbiegły od poglądów dawnych,

W tych to poglądach, w uporze z jakim trzyma się ich przedsiębiorca, bankier, obszarnik i większość polityków współczesnego świata, tkwi ów potężny węzeł sprzeczności, który ubezwładnia naszą gospodarkę.

Roztropny użytek z wolnego czasu — któż się z tem nie zgodzi? — potrafi uczynić ten tylko, kto posiadał wykształcenie i kulturę. Ale jakże zdobyć może wykształcenie ten, kto od wczesnych lat życia przykuty jest do warsztatu nadmiernej a dziś już niekoniecznej i zbyt długiej pracy?

W wadliwej, obłądnej i marnotrawnej gospodarce współczesnego kapitalizmu przeważna część zbiorowego nakładu pracy ludzkiej przypada w udziale drobnemu ułamkowi ludności. Wskutek braku jakiegokolwiek myśli kierowniczej, czuwającej nad produkcją, wytwarzamy mnóstwo rzeczy niepotrzebnych. Wskutek braku elementarnej zasady w podziale pracy, skazujemy olbrzymie rzesze robotników na bezczynność, aby pozostałych nadmierną przeciążać pracą.

Gdy zaś sprzeczności te rozrosną się do granic absurdu i gdy pod ich ciężarem zaczyna trzeszczeć cały gmach gospodarki, wtenczas — evviva la guerra! — spoza baraków nędzy, z nad pustyni głodu, wyrasta widmo rzezi, ostatnia „życiowa stawka” bezrobotnych.

## GDZIE JEST OJCZYŻNA BEZROBOTNYCH?

I rzeczywiście wojna, która, jak cyklon, czai się tuż pod horyzontem Europy, już dziś może być nazwana wojną bezrobotnych. Nietylko w tem znaczeniu, że bezrobotni, dzięki niej, znajdą nareszcie zatrudnienie w fabrykach oręża i amunicji, że, wysłani na plac boju, krwią własną napoją niezorane ugory. Wojna grożąca Europie przedstawia się nam jako wojna bezrobotnych przede wszystkim dlatego, że podjęta i prowadzona będzie w imię bezrobotnych, w imię potrzeb pracy narodowej, pod znakiem podboju ziemi obiecanej dla głodnych nędzarzy. Czyż nie taki ma charakter wojna, którą Mussolini rozpętał w Afryce wschodniej? Czy nie pod znakiem zdobycia ziemi i pracy dla bezrobotnych pracuje przemysł zbrojeniowy?

Tereny abisyńskie, skoro zostaną zdobyte, okażą się zapewne nie więcej korzystne dla bezrobotnych Italji, niż półwysep Apeniński. Ale za cenę przelewu krwi, którą spowoduje wojna, utrzyma się jeszcze na czas pewien mit, z którym nie chce rozstać się anachroniczna gospodarka współczesna: że prosty, szary człowiek, aby żyć, musi chleb swój spożywać nadal w pocie i krwi swego czoła, w poniewierce i poniżeniu swej duszy, w wyrzeczeniu dóbr i środków rozwoju. Tych dóbr i środków, które już nie wybranym jednostkom i klasom, ale milionom i milionom ludzi mógłby zapewnić wiek XX.



## CI, KTÓRZY WRÓCĄ DO ZIEMI

Cóż powiedzilibyśmy o bogatym skąpcu, któryby, odmawiając sobie i swym pracownikom najskromniejszych środków na utrzymanie i urządzenie życia, odkładał wszystko na koszty przyszłego zbytkownego pogrzebu? A przecież takim skąpcem szalonym jest kapitalizm dzisiejszy: stara się on jak najmniej produkować dla obsługi ludzkich potrzeb pokojowych, ale za to jest bezgranicznie rozrzutny, gdy chodzi o produkcję dla wojny.

Bez obawy o przesadę stwierdzić można, że fabryki uzbrojenia i amunicji przedstawiają dziś jedyny dział produkcji, który nie zna depresji gospodarczej, pracując całą siłą pary, a nawet z roku na rok zwiększając swą imponującą wydajność i werbując dla swej pracy bezrobotnych, wygnanych z innych dziedzin produkcji. Rzecby można, że wojna, wyklिनana i zażegnwana na ceremonialnych zjazdach dyplomatów, narasta groźnie a żywiołowo w kolumnach gromadzonej broni, w kalkulacji jej producentów, w łoskocie maszyn, w tajemniczych pracowniach chemików, pochylonych nad retortami, w których rodzą się nowe materje wybuchowe i nowe zabójcze gazy.

## GDZIE JEST OJCZYZNA BEZROBOTNYCH?

W roku 1933 światowy handel broni i amunicji wykazał przyrost 27 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim, rok zaś następny wzmógł tempo postępu jeszcze bardziej. W pierwszym kwartale r. 1934 Wielka Brytania wywiozła materiału wojennego o 43 proc. więcej, niż w tymże kwartale roku poprzedniego. Te obroty handlowe, a przede wszystkim produkcja broni wzrosć musiały niepominięciem z chwilą uwojskowania Niemiec, które stało się sygnałem do nowego gwałtownego turnieju zbrojeń w całym świecie.

Najlepiej, jak przyznają sami zainteresowani, rozwija się przemysł i handel karabinów maszynowych.

— Podczas wojny światowej chlubił się niedawno na Walnem Zgromadzeniu Akcjonariuszów dyrektor jednej z najsłynniejszych wytwórni karabinów maszynowych \*) — zamówienia na broń były olbrzymie. Zawieszenie działań wojennych i zawarcie pokoju nie pociągnęło za sobą jednakże zmniejszenia obrotów handlowych w naszej branży. W okresie powojennym popyt na broń spadł o wiele mniej, niż można się było spodziewać. Powstały do bytu nowe państwa, które musiały zbroić się od podstaw... Nasze modele karabinów przeciwlotniczych cieszą się powodzeniem na wszystkich rynkach

---

\*) P. P. Allard: „La vérité sur les marchands des canons”. Paris. Edition Grasset 1935.

mocarstwowych. Zawarliśmy szereg korzystnych umów. Sytuacja naszego Towarzystwa w dziale broni automatycznej przedstawia się wybornie.

Gdy Japonja postanowiła wzmocnić swe siły wojskowe, prasa, związana z przemysłem uzbrojenowym, nie hamowała oznak radości, witając z uznaniem ten wysiłek wschodniego mocarstwa, jako krok niezawodnie wiodący do ożywienia na rynku surowców.

— Naprzekór gromom, ciskany na nasze głowy przez apostołów pokoju — mężnie dowodził ten sam potentat przemysłu — możemy sobie powiedzieć, że wojna w Mandżurji, a nawet jakiegokolwiek na tym terenie zbrojne wystąpienie Japonji, zdolne wywołać równoległą akcję zbrojną Sowietów, oddziałyoby korzystnie na ceny surowców. We wszystkich krajach świata armja, działająca w polu, przedstawia doniosły czynnik spożywania dóbr, a nawet wyśmienity czynnik marnotrawstwa. Nie należy też zapominać i o tem, że ludzie powołani pod broń oznaczają tyluż ludzi, oderwanych od warsztatów produkcji. Któż we Francji nie zna tych rzeczy z doświadczenia? Odkładając tedy na bok wszelkie uczucia humanitarne oraz względy polityczne i pozostając na gruncie gospodarczym, uznać musimy, że tego rodzaju fakty i czynniki — gdyby przybrały wymiary realne — przyczyniłyby się znacznie do odciążenia zapasu surowców i zła-godzenia dumpingu, przedewszystkiem zaś otworzyły-



## GDZIE JEST OJCZYŻNA BEZROBOTNYCH?

by upust dla fabryk broni i amunicji, no i... dla niebezpiecznie wzrastającego dynamitu żywej nędzy ludzkiej w milionowych kadrach bezrobocia”.

Wywody powyższe, cobykolwiek zarzucić im można ze stanowiska etyki są pod jednym względem wolne od zarzutów: nie sprzeciwiają się zasadom, na których stoi dzisiejszy ustrój gospodarczy z jego walką konkurencyjną o rynki, z jego dumpingiem i jego pogonią za zyskiem.

Ze stanowiska zysku, jako naczelnej normy gospodarczej, poboju wojenne, usłane trupami, jest takim samym rynkiem zbytu, jak, dajmy na to, prowincja wiejska, podlegająca elektryfikacji lub miasto budujące domy robotnicze. Werbunek bezrobotnych do fabryki gazów śmiertelnych lub do oddziałów, które będą gazami temi operować, ale i od nich ginąć, jest w oczach producenta amunicji interesem ekonomicznym równie korzystnym jak wyrób obuwia lub melioracja roli. Gdzie niema planu, t. j. niema woli kierowniczej w naczelnych ośrodkach polityki gospodarczej, orzekającej o hierarchji celów i środków działania, tam energia przedsiębiorcza szukać może zysku zarówno na szlakach budowania, jak i na szlakach niszczenia życia. Ba! marnotrawstwo wojny — jak trafnie zauważył nasz, wyżej przytoczony, dyrektor fabryki karabinów maszynowych — dawać może wyższe zyski, niż najekonomiczniej pojęta praca dla pomnożenia skarbów cywilizacji.

## CI, KTÓRZY WRÓCĄ DO ZIEMI

Cofnijmy się pamięcią ku początkowi wyprawy włoskiej na Etyopję. W ciągu pierwszego tygodnia we Włoszech zgłosiło się 70 tysięcy ochotników na wyprawę do Abisynji. Któż są owi kandydaci na afrykańskich scypionów? Czy to jurna, tego odżywniona młodź rodzin dobrze sytuowanych szuka ujścia dla swych zdobywczych i bohaterskich instynktów? Nic podobnego! Są to bezrobotni, synowie nędzy i głodu, którzy w kadrach ekspedycji kolonialnej widzieli — lub łudzili się, że widzą — dla siebie pierwszy stopień do wywyższenia się z poniewierki.

Miraże opiewanych przez propagandę zdobyczy afrykańskich uwiodły robotników, wyrzuconych na bruk, a przede wszystkim chłopów, wysadzonych z zagona, którzy spodziewają się, że dzięki wojnie zwycięskiej wrócą — gdzieś tam, choćby za morzami — do gospodarki i do własnego zagona ziemi.

W słowach propagandy, sowicie zasilanej przez fabrykantów broni, jest oczywiście tyle tylko prawdy, ile jej mieści się w zdaniu, że dla bezrobotnych w ojczyźnie miejsca niema, że ekonomja samowystarczalności dała Włochom, jak zresztą i innym krajom, wszystko, co dać mogła, t. zn. bardzo mało. Przez pewien czas wprawdzie, rząd Mussoliniego głosił, że wzmożony rozwój rolnictwa zdoła rynek wewnętrzny rozszerzyć. Z uroczystym ceremonjałem obębniono we Włoszech naprzód „walkę o pszenicę”, potem „ofensywę na ryż”. W tej ofensywie jednakże wódz faszyz-

## GDZIE JEST OJCZYŻNA BEZROBOTNYCH?

mu zdobył więcej laurów dla siebie, niż ryżu dla ludności. Nie lepsze dała wyniki i zbożowa polityka Darrego w Niemczech, lub wysiłki rządu we Francji, zmierzające do podniesienia narodowych winnic. Hasło głoszone „powrót do ziemi” i do pracy rolnej — tak zbawienne w zamierzeniu, okazało się bezpłodne w praktyce dotychczasowego systemu gospodarczego.

Wyprawa abisńska Włoch staje się nietylko nowym rozdziałem w historii tego kraju, ale i nową próbą zatrudnienia bezrobotnych pod znakiem zdobycia dla nich nowych obszarów ziemi.

Czy bezrobotni, naprawdę, ziemię posiedzą? Czy wrócą do niej, jak zapowiada propaganda wojenna?

Jedno jest pewne. Fabrykanci armat, którzy zbroją Włochy, nie omieszkają też, za tę samą cenę zaopatrzyć w oręż i ich przeciwników. Jakikolwiek będzie wynik wojny, dostawcy broni i amunicji nie wyjdą z pustymi rękami. Postarają się o to, aby walka była zażarta. Aby w niej dużo zużyto żelaza, ognia i gazu.

Piaski afrykańskie spłyną krwią. Ziemia pochłonie kości poległych. Wtenczas to będzie można powiedzieć, że spełniły się słowa obietnicy, zawartej w propagandzie władców śmiertelności przemysłu: „Bezrobotni chłopci wrócą do... ziemi”.



## IV

# PRAWO DO ŻYCIA A POWINNOŚĆ PRACY



Pokoleniu naszemu nie trzeba przypominać starej prawdy Heraklita o nieskończonym toku przemian, jako jedynym stałym pierwiastku życia. Prawdę tę niesiemy dziś w swoich mózgach, we krwi, w nerwach, wstrząsanych łoskotem zdarzeń, podważających i przekształcających same podstawy naszej politycznej, społecznej i gospodarczej egzystencji.

Silniej, głębiej, bezpośrednio niż kiedykolwiek, ludzkość czuje dziś sama na sobie, że znakiem i regułą życia jest przemiana; że okresy spoczynku bywają jedynie chwilami pozornej równowagi, zastępowaniem ruchu na grzbiecie przełamujących się fal. Taką chwilę równowagi społeczność europejska przeżyła między rokiem 1870 a 1914. Wybuch wojny światowej grzebiąc ten okres zacisza, rozpętał burze i konflikty, które przeorały mapę polityczną Europy, wstrząsnęły lub odwróciły jej ustroje społeczne, i których rozpęd rewolucyjny po latach 20-tu jest wciąż jeszcze daleki od wyczerpania swej energii.

Ku jakim brzegom nowym, ku jakim nowym poziomom równowagi, niesie nas ta światowa nawałnica przemian?

Tragicznym paradoksem współczesnego kryzysu jest, właśnie to, że ci, którzy chcieliby go opano-



wać, kierują nas nietyłe ku brzegom nowym, ile raczej ku dawnym i — należałoby sądzić — nazawsze opuszczonym.

Patrząc na ten nawrót do wzorów przeszłości, mimowoli myślimy o człowieku obolałym, który, leżąc na jednym boku, nie może zasnąć, przewraca się na drugi, ale nie doznaje ulgi i — po pewnym czasie — chciałby odzyskać pozycję poprzednią.

Porównanie to jest czemś więcej, niż metaforą. Ludzie buntują się przeciw nadużyciom i krzywdom, które ich bołą. Próbują metod rządzenia przeciwnych dotychczasowym; stosują je z krańcową przesadą, posuwając się aż do absurdu, i w ten sposób dają początek nowym nadużyciom. Wówczas zaczynają tyranją nazywać to, co sto lat temu zwali wyzwoleniem, nadużycia zaś przeszłości stają się namiętnie upragnioną reformą.



Andrzej Maurois, znany autor świetnych biografii historycznych, w których dzień wczorajszy i przedwczorajszy odżywa w swych charakterystycznych barwach i postaciach (D'Israeli, Shelley, Byron, Edward VII) upatruje w tych ruchach wahadłowych najintymniejszą treść dziejów ludzkich.

Ludziom — powiada on — brak jest umiaru. Ponieważ wolność jest wielkiem dobrem społecznem, przeto gotowi są upijać się nią aż do szału anarchji.

## PRAWO DO ŻYCIA A POWINNOŚĆ PRACY

Ale wtedy przychodzi moment, w którym dostrzec muszą, że anarchja, gdy zerwie wszelkie wędzidła, nie różni się niczem od tyranji, i — szukają ratunku pod skrzydłami silnej władzy. I mają, a raczej mieliby słuszną, gdyby poprzestali na przywróceniu niezbędnej części autorytetu. Ale, jak przedtem upijali się wolnością, tak skolei upijają się autorytetem władzy. Depcą wolność w jej najnieвинniejszych postaciach. Władzę myślą z brutalnością, a stanowczość z despotyzmem. Nadmiar ucisku i gwałtu daje się wreszcie we znaki tym, którzy są jednocześnie ich ofiarami i sprawcami. W karbach ustalonego porządku budzi się smak i pragnienie niezależności. Jeszcze chwila, i oto ludzie dadzą się zabijać aby zdobyć to, co trzydzieści lat temu zwalczali z narażeniem życia.



Wahadło dziejowe, zmierzające doniedawna w Europie kapitalistycznej w stronę absolutyzmu władzy i apoteozy państwa, osiągnąwszy kraniec zamachu, niewątpliwie odchyli się spowrotem ku postulatowi wolności osobistej, ku troskom i zainteresowaniom o los człowieka i obywatela.

Ale czy zwrot ten będzie tylko jednym z tych punktów zwrotnych, które Europa przeżyła, przechodząc od cechów i „planowej gospodarki” średnio-wieczna do liberalizmu klasycznej gospodarki kapi-

talistycznej, a od tej ostatniej od amerykańskiego „trustu mózgów“?

Wszechświatowość obecnego kryzysu, głębia i waga przemian, jakie w nim narastają i coraz gwałtowniej poszukują swego wyrazu w nowej konstrukcji społeczno-politycznej, zdają się świadczyć, że przełom, który nas niesie, górować będzie swą doniosłością nad wszystkimi przełomowymi etapami, jakie ludzkość pozostawiła za sobą na swej drodze rozwoju, mierzonej tysiącami lat.

Od początków cywilizacji podstawowe potrzeby człowieka (żywność, schron, sen, bezpieczeństwo, rozkosz, wiara) pozostają niemal bez zmiany, środki, natomiast, i zasoby, służące ku ich zaspokojeniu, ulegały pomnożeniu równolegle z rozwojem wiedzy i techniki. Z wieku na wiek odkrycia i wynalazki przynosiły coraz nowe, doskonalsze rozwiązania starych, odwiecznych zagadnień. Jeden z historyków wykazał, jak wynalazek nowożytnego zaprzęgu na konia, pod schyłek dziesiątego wieku, położył kres niewolnictwu. Odtąd w najcięższych robotach koń mógł zastąpić człowieka. Jarzmo niewolnika ustąpiło ze stosunków społecznych nie dlatego, że było niemoralne, ale dlatego, że stało się zbyt ciężkie.

\*

Ten fakt z przed lat tysiąca może być ze stanowiska czasów terażniejszych uważany za zwiastuna



## PRAWO DO ŻYCIA A POWINNOŚĆ PRACY

i za symbol stokroć większego przełomu, jaki tai się w możliwościach naszej kultury. Jak przed tysiącem lat człowiek, pracujący fizycznie, został wyzwolony z zaprzęgu bydłęcia, tak samo dziś ludzkość cała, dzięki zdobyczom nauki i techniki, dźwignąć się może ponad niewolę ubóstwa i nędzy.

Dożyliśmy istotnie czasów, w których fizycy i chemicy, w ciągu kilku dziesięcioleci, dokonali przewrotu w gospodarczych możliwościach człowieka, rozsuwając ich granice daleko poza to, czego wolno było oczekiwać, o czym wolno było marzyć jeszcze sto lat temu. Narody, które od wieków cierpiały niedostatek zboża, brak odzienia, brak dachu nad głową, brak środków komunikacji, dziś wszystkie te swoje potrzeby mogłyby zaspakajać swobodnie. Opanowanie źródeł energii, a także odkrycie i spożytkowanie nowych sił przyrody, dawniej nieznanych, dało nam możność niesłychanego zaoszczędzenia wysiłku przy niesłychanem jednocześnie spotęgowaniu wytwórczości. a nowozdobytą władza nad siłami przyrody przełamała żelazne prawo ubóstwa, pod którym człowiek żył na ziemi od zarania dziejów, i postawiła go w obliczu nieogarniętych bogactw.

Gdyby spożytkować wszystkie odkrycia i wynalazki techniczne, będące do rozporządzenia współczesnej gospodarki rolniczej i przemysłowej; gdyby puścić w ruch wszystkie silniki i maszyny zdol-

ne do pracy, zasoby bogactw wytwarzanych byłyby tak wielkie, że starczyłoby ich na wyżywienie wszystkich głodnych, odzianie wszystkich nagich i bosych, pomieszczenie wszystkich bezdomnych. Teror nędzy ustąpiłby z oblicza ziemi tak samo, jak tyśiąć lat temu ustąpił z niej terror niewolnictwa, wprężonego w jarzmo bydłęce.

Tak! Społeczeństwa nauczyły się wytwarzać, ale nie umieją dzielić wytwarzanych bogactw; nauczyły się racjonalizować produkcję, ale nie umieją zracyjonalizować spożycia. A tymczasem spożycie jest celem i koroną produkcji, i mądra organizacja spożycia jest dzisiaj rzeczą o wiele trudniejszą, niż organizacja produkcji.

Jeden z potentatów życia gospodarczego w Polsce, gdy pytano go, od czego zacząć należy prawdziwą walkę z kryzysem, miał podobno — wręcz odpowiedzieć:

— Należy wszystkim dać codzień po bochenku chleba. Dać darmo, nic nie żądając wzamian; żadnych pieniędzy, żadnej pracy.

Se non è vero, è ben trovato. Ta prosta, jakby ewangeliczna odpowiedź, będąca przecież niczem innym, tylko odmianą pierwszych słów pacierza, który chrześcijanie odmawiają co rano, dowodziłaby, że nawet po tamtej stronie, po stronie kapitału, kiełkuje myśl, która dotąd była wyłącznie zdobyczą i udziałem awangardy ruchu pracowni-

## PRAWO DO ŻYCIA A POWINNOŚĆ PRACY

go: myśl, że u podstaw obecnej niedoli społecznej i gospodarczej leży zwichnięcie równowagi między potęgą produkcji a siłami nabywczei ludności, i że droga wyzwolenia prowadzi nie przez zmniejszenie produkcji, lecz przez zwiększenie spożycia.

Ów bochenek chleba, który nasz bezprzesądny „kapitan przemysłu” pragnąłby skierować do rąk głodnego nędzarza, jest oczywiście tylko symbolem i protestem: jest symbolem idei, wyłaniającej się z nowego sposobu produkcji, który pracą maszyn, zastępując pracę człowieka, mnoży coraz szersze zastępy bezrobocia; jest protestem przeciw tradycyjnej metodzie ascezy, zalecającej oszczędność i zaciskanie pasa tym, których samo życie wyrzuciło poza obieg dóbr gospodarczych. Ten symbol i ten protest, zawarty w nakazie nakarmienia głodnych, jest jakby wezwaniem do zerwania z przestarzałymi formami kupna i sprzedaży; zachętą i pobudką do przekreślenia niemniej przestarzałych a nieziszczalnych już dzisiaj pojęć wymiany: tej wymiany, która opiera się na dokładnym równoważniku między tem, co się otrzymuje, a tem, co się daje, gdy tymczasem zjawisko bezrobocia sprawia, że miliony i miliony ludzi mogą jedynie otrzymywać, ale niczego nie są w możności dawać wzamian. Czyż jednak wolno ludzi skazywać na śmierć głodową dlatego tylko, że zbrakło dla nich pracy i zatrudnienia? Gdyby zbrakło chleba, to stalibyśmy wo-



## PRAWO DO ŻYCIA A POWINNOŚĆ PRACY

bec tragedji, która nie przestałaby być okrutna i nie-ludzka, lecz byłaby przynajmniej zrozumiała. Ale cóż powiedzieć o systemie gospodarczym, który ka-że ludziom cierpieć nędzę i głód w obliczu prze-pełnionych śpichrzów? A właśnie najdzikszy cza-sów naszych paradoks polega na tem, że nigdy ludz-kość nie była bogatsza i nigdy ludzie nie byli uboż-si, niż dzisiaj.

Równolegle z tryumfalnym pochodem nauki i tech-niki odbywa się nieubłagany pochód bezrobocia. Z milionów piersi ludzikich, osaczonych troską o byt, dobywa się krzyk rozpacz: Dajcie nam pracę! daj-cie nam zatrudnienie! Ale jakże dać ludziom to, czego niema? Skąd brać to, co kurczy się i za-nika! co jest skazane na zagładę i co, prawdopo-dobnie, już nigdy się nie odrodzi w dawnej po-staci i w dawnych wymiarach? W jednym z por-tów bałtyckich zbudowano w roku ubiegłym dźwig, który dziennie — przy obsłudze jednego człowie-ka — wyładowywa i ładuje 8 tys. tonn towaru: jest to praca, stanowiąca równoważnik wysiłku 1.600 robotników portowych. Cóż stanie się z ową re-sztą 1.599-ciu, którzy utracili pracę? Przypuśćmy, że kilku lub kilkunastu znajdzie zatrudnienie na roz-maitych etapach przemysłu, wytwarzającego dźwi-gi portowe. Będzie to drobny jedynie ułamek w po-równaniu z tymi, którzy pozostaną na bruku. Już ten jeden przykład, — a każdy z nas wie, że moż-

## PRAWO DO ŻYCIA A POWINNOŚĆ PRACY

naby je mnożyć w setki i tysiące — wskazuje na to, jak powierzchowny jest ów pogląd, który zjawisko bezrobocia wyprowadza z kryzysu, jako skutek z przyczyny. Ażeby zbliżyć się do prawdy, należałoby raczej te ogniwa zależności odwrócić i powiedzieć, że jedną z głównych przyczyn kryzysu jest bezrobocie, a mianowicie ta jego postać, która wiąże się z postępami techniki i maszynizmu.

Lecz jeśli kryzys obecny rodzi się z bezrobocia, to zaś ostatnie jest konsekwencją postępu człowieka na drodze wiedzy i wynalazczości, a więc konsekwencją tego, co jest najwyższą chwałą geniuszu ludzkiego w jego zmaganiu się z przyrodą, to czemu wytłumaczyć, że triumf przeistacza się w upośledzenie, zdobycze geniuszu dają w wynikach nędzę i upadek? Ażeby móc na pytanie to odpowiedzieć, trzeba naprzód oswoić się z myślą, że to, co nazywamy kryzysem, t. j. mianem zwykłego znaczenia stosunków gospodarczych, w rzeczywistości jest olbrzymią przemianą wszechświatową, która stawia nas już nie w obliczu nowej konjunktury ekonomicznej, ale na progu nowej fazy cywilizacji.

We wszystkich dziedzinach, nie wyłączając dziedziny życia prywatnego, geniusz postępu wyzwala człowieka z jarzma pracy, uświęconej przez moralność i religję, obwarowanej przez prawo oraz instytucje publiczne. Energja przyrody, wprzęgnięta

do maszyn i warsztatów produkcji, zdejmując z ramion człowieka ciężar tysiącoletnich trudów i pozwalając mu sięgać po swobodę i wolność w zakresie dotychczas nieznanym. Ale przeważająca większość ludzi nie jest jeszcze oswojona z ideą człowieka, wyzwolonego z jarzma przymusu fizycznego dla swobody umysłu i ducha. Ogół ludzi wciąż jeszcze buntuje się przeciw widokom, jakie otwiera przed nami nowa faza cywilizacji i odwołuje się przeciwko niej do instancji i trybunałów, głoszących szczytność i świętość pracy, wykonywanej w pocie uznojonego czoła. Człowiek bowiem, chowany i kształcony od dziesiątków tysięcy lat w twardej szkole niedostatku i głodu, smagany biczem nędzy i strachu, nauczył się ubóstwiać to, czego nie mógł przełamać, i ubóstwił wreszcie pęta swej niewoli, wygrażając pięścią tym, którzy mu nieśli ulgę lub ratunek.

Jak niegdyś mityczny Prometeusz przykuty został do skały za to, że przyniósł ludzkości dar ognia i światła, tak dziś pod pręgierzem głodu i męki stoi świat bezrobotnych, ów zbiorowy Prometeusz nowoczesny, w którym triumfuje prawda i zdobycz niemniej cenna od daru ognia. Bo tylko straszliwy bezwład, wyrażający się w górowaniu nałogów tradycji nad wymową świeżych doświadczeń, sprawia, że w zjawisku bezrobocia dostrzegamy klęskę i nad klęską tą łamiemy ręce bezsilnie lub obłudnie, gdy







60  
Wojewódzka Biblioteka  
Publiczna w Opolu

**CM KEK 321839**



000-321839-00-0

OKŁADKĘ WYKONANO  
W ZAKŁADACH DRUKARSKICH  
GALEWSKI I DAU WARSZAWA